№ 49 Warszawa, dnia 21 Listopada (3 Grudnia) roku 1881.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50 —w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

Pod temi samemi co dotąd warunkami, w tym samym formacie, z jedną zawsze illustracyą i z dodatkiem powieściowym, wychodzić będzie **Tygodnik Mód i Powieści** i w roku przyszłym 1882. Upraszamy o wczesne zapisy i dokładne wypisywanie adresów, aby zwłoki i omyłek w odbieraniu Pisma uniknąć.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

Adres: **Do J. K. Gregorowicza**, redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela dzieci w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

PRZYJACIEL DZIECI.

W przyszłym roku 1882 **Przyjaciel Dzieci** wychodzić będzie w powiększonym formacie ze stałym tygodniowym dodatkiem półarkuszowym dla mniejszych dzieci, i z illustracyą o ile można jak najstaranniej rozwiniętą. Dążność jednak główna pisma, miłej i pożytecznej zabawy, w niczem nie ulegnie zmianie i na szczególnem zawsze będzie baczeniu. W każdym numerze obok innych artykułów mieścić się będą: gawędy naukowe w różnorodnych przedmiotach wiedzy ludzkiej, obrazy historyczne, powieść obszerniejszych rozmiarów, wiersze, powiastki, wierszyki, szarady, łamigłówki i zadania arytmetyczne, a od czasu do czasu dawane będą komedyjki i dramata, oraz podróże i wiadomości z dziedziny wynalazków.

Z prac większego rozmiaru, mamy już przygotowane dwa opowiadania historyczne: *Wyprawa Henryka V na ziemię Bolesława Krzywoustego* i *Opowiadanie z wieku XII o Matusie i Pawliku z Kołoboża*. Po ukończeniu powieści obecnie drukującej się, rozpoczniemy zaraz oryginalnie napisaną p. t. *Elżunia Bohoni* z czasów Maryi Teresy i *Tajemnice oceanu*. Skutkiem tych zmian i ulepszeń cena prenumeracyjna powiększoną zostaje kwartalnie o kop. 25 i wynosić będzie:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie	**rs. 1 k. 25.**
Półrocznie	**rs. 2 k. 50.**
Rocznie	**rs. 5.**

Adres: **Do J. K. Gregorowicza**, redaktora Przyjaciela dzieci i Tygodnika Mód i Powieści w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

Słówko do p. A. G.

na artykuł jego krytyczny w N-rze 304 „Nowin" pomieszczony.

W przeglądzie literackim pisma tego, p. A. G. rozbiór powieści p. Piotra Jaxy Bykowskiego p. t. *Faktor hetmański*, poprzedził następującą uwagą; którą tu w całości wypisujemy.

„Minął zdaje się niepowrotnie on czas złoty dla gawędziarzy, kiedyto ich utwory gorączkowo rozchwytywano i czytano z zapałem, zachwycano się podgolonemi czuprynami, wielbiono kielichy, bijatyki i zajazdy szlacheckie, kontusz i pas słucki czczono na równi z sanctissimum, każdy podły czyn nietylko usprawiedliwiano, ale stawiano na piedestale cnoty i bohaterstwa! Dziś sztuczne i pożyczone blaski, które świeciły fosforycznem światłem grobów, rozpierzchły się i znikły, a naga prawda przedstawia nam tych zeszłowiecznych bohaterów w świetle bardzo a bardzo ujemnem. Brak charakteru i poczucia obowiązków, egoizm i pycha bez granic, materyalizm i gonienie za groszem, aż do upodlenia godności i uczuć człowieczeństwa, ludzie bez jutra, przekonań i idei — dziwna zaiste metamorfoza ideałów w ohydne karły.

„Lecz może i dziś jeszcze znajdą się tacy, którzy gromko krzykną: "lichy to ptak, co swe gniazdo kala" i za złe będzie nam poczytane ostre słowo nagany i rzekomego nieposzanowania przeszłości. Cały ten obóz konserwatystów robi na nas wrażenie ludzi idących korpusem naprzód, ale głowę mają zwróconą za siebie i zapatrzeni w przeszłość pogardzają teraźniejszością, a kto się tknie tych kontuszowych postaci, co legły w grobie, kto powie: błądzili nasi ojcowie, byli słabego umysłu i charakteru, silnych chęci i niepohamowanej swawoli —

tego okrzykną zdrajcą! odstępcą! wyrodkiem! Ci konserwatywni podobni są do ludzi smutnych, siedzących na grobach i wołających Jeremiaszowym głosem nad upadkiem i minioną, zmarłą przeszłością, to też nic dziwnego, że kto się dotknie grobów, tego uważają za świętokradzcę, za profanującego świętości.

„A my przychodzimy również do grobów i zamarłej przeszłości, ale szukamy tam czynników życia, wskazówek postępowania, nauki na przyszłość, mówimy, że i dziś tradycyjne błędy zarażają nas trądem, że się nam ich wystrzegać należy, by nie popaść na dawne błędne tory,—zatem odkrywamy nagość ich życia, stawiamy przed surowym sądem historycznym ich czyny i z grobów dobywamy iskrę życia i nauki na przyszłość.

„Czyjaż miłość jest lepszą, nasza czy wasza?"

Wybaczy mi p. A. G. gdy mu na to pytanie odpowiem z całą otwartością, że to nie jest miłość pod jaką gwałtem się podszywa, ale pogardliwe kopanie tych którzy w grobach spoczywają. W całej osnowie rzuconych tu myśli, nie widać jej nigdzie a tylko jaśnieje wszędzie zaciętość nienawiści niczem nieprzejednanej.

Pan A. G. mimo tego nazywa się synem tych złych ojców, ale dlaczego, trudno pojąć. Syn dobry kocha swoich ojców i cześć dla ich pamięci uważając za świętość, za *sanctissimus*, jak się wyraża p. A. G., błędy jeźli w nich później pozna, tai przed samym sobą, rozważa je wreszcie w ciszy swego ducha, ale nigdy po świecie nie roztrębuje. Syn nawet uznanego zbrodniarza, potępionego przez wszystkie prawa, jeszcze nie bluźni na pamięć ojca słowem wzgardy, bo przez wrodzone uczucie miłości tylko dobre w nim zapamięta a pamięć złego na zawsze zagrzebie w niepamięci.

Pan A. G. zupełnie inaczej postąpił. Czytając wstęp jego zdało mi się, że widzę syna stojącego przed portretem ojca i z groźnie wyciągniętą ku niemu pięścią mówiącego:

— Ah! ty *zeszłowieczny bohaterze*, jakiż był w tobie *brak charakteru i poczucia obowiązków*. Przejęty *egoizmem i pychą bez granic*, posunąłeś *materyalizm i gonienie za groszem aż do upodlenia godności i uczuć człowieczeństwa*, byłeś *człowiekiem bez jutra, przekonań i idei, ohydnym karłem...*

Scenę podobną odtwarzając w swej wyobraźni, nadsłuchując słów tych zadrżałem zgrozą przejęty.

Jeżeli p. A. G. nie pojmuje tego dziś dobrze, niech sobie wyobrazi, że jest owym ojcem, i że syn krew jego krwi i kość z kości, obrzuca go podobnie gwałtownemi oskarżeniami.

Powiada p. A. G., że minęły niepowrotnie czasy, w których każdy podły czyn nietylko usprawiedliwiano ale stawiono na piedestale cnoty i bohaterstwa.

Czy czasy takie kiedykolwiek istniały, wolno mi się zapytać p. A. G. Niech da nam dowody takiego rozwielmożnienia się podłości, iz ją stawiano na piedestale cnoty i bohaterstwa! Gdzież to i kiedy wychwalano pijaństwo, bijatyki, zajazdy szlacheckie, kiedyż to nie wytykano błędów i zdrożności publicznych począwszy od pisarzy XVI wieku aż do czasów w których my żyjemy?

Niech zajrzy do historyi, czyż na jej kartach nie zapisano wszystkich tych wybryków bez żadnej obsłony? Czyż gdziekolwiek je pochwalono, czyż nie przypisano im zguby wszystkiego?

Jeżeli p. A. G. zna je tak dobrze, zkądże się o nich dowiedział, jeżeli nie z prac tych których oskarża o zapleśniały konserwatyzm, o cześć bałwochwalczą dla wieków upłynionych?

Oni to właśnie zbierali materyały, przeglądali dokumenta, dyaryusze, pamiętniki, obrabiali monografie pojedyńczych postaci, i bez żadnej obsłony, bez krycia lub przekręcania prawdy, przedstawiali wiernie co niegdyś robiono, czem błądzono, czem zasługiwano na uznanie i jak się poświęcano dla ogólnego dobra.

Pan A. G. i jemu podobni widocznie nie zwrócili na to uwagi, nie zastanowili się, że pracę odtworzenia przeszłości z prawdą tak bezwzględną, nie oni dokonali, ale ci na których uderzają z taką także bezwzględną zapalczywością. Jeżeli zaś gawędziarze i powieściarze starali się wysnuwać z wieków upłynionych same piękne obrazy, jeżeli je rozwijali na tle kielichowych bahandryi, podgolonych czupryn, pasów słuckich, bijatyk, waśni sejmikowych i zajazdów szlacheckich, to także w niczem nie naruszali prawdy i dając je bez komentarzy refleksye pozostawiali czytelnikom.

Tak postępowali i postępują pisarze belletrystyczni wszystkich narodów; mieliżby nasi uchylać się od tego prawidła? Zresztą i w pracach tych nieraz spotyka się z ciemnemi obrazami minionej przeszłości; było ich dosyć jak zwykle pomiędzy ludźmi, którzy nie byli aniołami, ale i jasnych nie brakowało.

Niech p. A. G. zwróci przytem uwagę, że inne jest zadanie historyi a inne zupełnie obrazowania poetycznego lub powieściowego pewnych chwil minionej przeszłości. W historyi przedstawiać złe i dobre jest obowiązkiem i żaden szczegół choćby najwstrętniejszy opuszczonym być nie powinien: w belletrystyce wybór pozostawiony jest autorowi byle tło na którem snuje swoje opowiadanie było ściśle historyczne. Wybiera też zwykle co piękne, co zachwyca i ujmuje, jako zgodniejsze i z jego uczuciem i z gustem, pragnieniem i potrzebą ogółu. Z historyi ogół ten uczy się krytycznie oceniać przeszłość i brać z niej wskazówki postępowania w przyszłości: z belletrystyki uczy się kochać ją i coraz się więcej do niej przywiązywać. Sądzę że p. A. G. zdanie to w zupełności podzieli, które jest prawidłem wszędzie zachowywanem i u nas wypełnianem w całej ścisłości.

Pan A. G. zrobił zarzut p. Bykowskiemu, że nie wczytał się krytycznie w dzieje powszechne ani polskie: sądzę że więcej do p. A. G. to oskarżenie zastosowaćby należało. Gdyby znał je dobrze i podobni jemu krytycy, z pewnością nie wystąpiłby ze zdaniami, które podnieść i wyjaśnić było koniecznością.

Gronko to niewielkie, słowa ich przemkną się jak błyskawica i zgasną bez śladu; nie o nie mi więc idzie, ale o samych ich głosicieli, o otrzeźwienie ich z fałszywych poglądów którym mimowoli ulegają. Są to ludzie zdolni, nawet bardzo zdolni, przedstawiający piękny materyał dla przyszłości, kochający to co wszyscy kochają, ale zginą bez pożytku jeżeli nie otrząsną się z tego co dziś źle widzą.

Gdyby ta reforma mogła się rozpocząć od p. A. G. jakże by ucieszył się stary Janek z Bielca schodzący już z areny pracowników pióra!

Nie jest to rzecz niepodobna a jakkolwiek miłość własna silną tu może stanowić przeszkodę, poświęcić ją należy dla prawdy, dla wyrwania się z błędnego kółka, któremu nie przyświeca. Nie rumieniec wstydu będzie tego następstwem, ale zadowolenie wewnętrzne, radość ze zwycięztwa nad samym sobą odniesionego. Pan A. G. czując już niejako tego potrzebę, powiada: „Bezprzecznie, niemiłą rzeczą jest dla syna badać i sądzić winy ojców ale syn to zrobi, z pewną względnością, z poszanowaniem, a cudzy niemiłosiernie odkryje rany i będzie anatomizować ostrym skalpelem."

Przyznaje więc potrzebę pewnej względności i poszanowania, a jednak wbrew temu postąpił, zarzucając ojcom brak charakteru i poczucia obowiązków, egoizm i pychę bez granic, materyalizm i gonienie za groszem, aż do upodlenia godności i uczuć człowieczeństwa, nazywając ich ludźmi bez jutra, przekonań i idei. W końcu zaś dodaje: dziwna zaiste metamorfoza ideałów w ohydne karły.

Gdzież tu jest względność i poszanowanie? Cóż można już gorszego wypowiedzieć nad to co wygłosił p. A. G. nie zniżając się do brutalnych wysłowień wyłączonych z rozmowy przyzwoitych ludzi?

Jest tu więc widoczna niekonsekwencya, porywczość młodego pióra niewnikającego w głąb' rzeczy, nieprzyzwyczajonego do koniecznej rozwagi, do porządkowania myśli i wygłaszania ich w logicznym związku, aby jedne drugim nie zaprzeczały. Porywczość ta to wada młodości, nietrudna do usunięcia, dlatego też mam niepłonną nadzieję, że p. A. G. nad uwagami memi zastanowi się i przyjmie je z taką względnościa z jaką zrobione zostały.

J. K. Gregorowicz.

JESIENIĄ.

Skarżysz się że ci smutno — że chłód tej jesieni
Owiał uczucia twoje i cuda natury,
Że przygasł blask ożywczy słonecznych promieni,
Że zwiędły barwne krzewy, zmilkły ptasząt chóry,
I duszno jakby zbrakło powietrza w przestrzeni!

Szalona! czyż myślałaś że zawsze, bez końca,
Kwitnąć ci będzie róża, słowik nucił pieśni,
Że nigdy ciemna chmura nie skryje ci słońca,
Że nigdy w ziemskiem tchnieniu nie poczujesz pleśni.

Czyż chciałaś świeżość wiosny w całym swym uroku
Zachować w dalszem życiu, wśród burz i upałów?
Czy chciałaś w skwarach letnich lub jesieni mroku,
Odnaleść ślad wiosenny twoich ideałów?...

Daremna twa tęsknota i skargi szalone!...
Oderwij błędne myśli od próżnych zachcianek,
Te czary, te uroki twoje utracone,
Raz tylko w życiu świecą, w majowy poranek.

Emilia.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dokończenie.)

EPILOG.

Dnia 5 czerwca 1867 roku, młody, może 27-letni mężczyzna, eleganco ubrany, noszący w dziurce od guzika wstążeczkę orderową, w połowie czerwoną,

w połowie niebieską z białem, kończył pić filiżankę czekolady w kawiarni Prevot, przy rogu ulicy Poissonniere i bulwarów.

Zażądał dziennika „Sztandar".

Garson dwa razy zapytal o nazwę dziennika, a ponieważ nie było go w zakładzie, wybiegł na bulwary, kupił go i przyniósł gościowi. Ten prędko przebiegł go oczyma; widocznie szukał czegoś o czem wiedział, że się tam znajduje. Nareszcie zaczął czytać następujący ustęp:

„Dziś, we środę, dnia 5 czerwca, król pruski przybędzie do Paryża.

Jego królewskiej mości towarzyszyć będą:

Pan von Bismarck.

Jenerał von Moltke.

Hrabia Puckler, wielki marszałek dworu.

Jenerał von Treskow.

Hrabia Goltz, jenerał brygady.

Hrabia von Lehendorf, adjutant króla.

Baron Achiles Sturm, jenerał brygady..."

Tu przestał czytać, widać dowiedział się już czego pragnął, i nie zwracając uwagi na dalszą listę osób mających towarzyszyć królowi, zobaczył tylko jeszcze o której godzinie monarcha przybędzie, i dowiedział się iż nastąpi to o kwadrans na piątą, koleją północną.

Wsiadł zaraz do powozu i kazał stanąć przy drodze, którą król miał jechać do Tuillerie.

Pociąg królewski spóźnił się o kilka minut.

Młodzieniec nasz oczekiwał przy rogu bulwaru Magenta; kazał jechać za orszakiem królewskim aż do Tuillerie, szczególniejszą zwracając uwagę na powozy w których siedzieli: jenerał von Treskow, hrabia Goltz i jenerał Achilles Sturm.

Powóz wjechał na dziedziniec tuilleryjski za powozem królewskim; wyjechał jednak prawie natychminst wraz z siedzącymi w nim jenerałami, których powiózł do hotelu *Louvre'u*. Tam wysiedli; widać pragnęli zamieszkać w sąsiedztwie Tuillerie, gdzie miał przebywać ich monarcha.

Młodzieniec wysiadł także z powozu, i przybliżywszy się widział jak służba hotelowa zaprowadziła każdego jenerała do oddzielnego apartamentu. Zatrzymał się chwilę — żaden nie wyszedł.

Wtedy wsiadł znów do czekającego nań powozu i kazał jechać ulicą Piramid. Wiedział wszystko czego pragnął.

Nazajutrz około jedenastej rano, ten sam młodzieniec przechadzał się z cygarem w ustach przed kawiarnią dotykającą hotelu *Louvre'u* i noszącą jego nazwę. Nie czekał długo; po upływie dziesięciu minut, jenerał wyszedłszy z hotelu, usiadł przy jednym z marmurowych stolików stojących naprzeciw okien, i kazał sobie podać filiżankę kawy i kieliszek wódki.

Było to tuż naprzeciw koszar żuawów.

Benedykt,—on to był bowiem, wszedł do koszar i wyszedł z nich po chwili w towarzystwie dwóch oficerów.

— Panowie, rzekł im, oto jenerał pruski z którym mam do załatwienia nader ważną sprawę, tak że jeden z nas musi zostać na placu. Udałem się do was z prośbą abyście raczyli służyć mi za świadków, a to dlatego głównie, że jesteście oficerami, że nie znacie i mnie i mego przeciwnika, a tem samem nie będziecie się krępować jakimś z tych drobnych skrupułów, jakie miewają ludzie światowi odnośnie do tych którym służą za świadków. Wejdziemy do kawiarni i usiądziemy przy tym co on siedzi stoliku, wtedy wypowiem co mam mu do zarzucenia; osądzicie panowie sami, czy jest to sprawa dość ważna aby mogła być pdwodem śmiertelnego pojedynku. W takim razie nie odmówicie mi zaszczytu zostania moimi świadkami. I ja także byłem żołnierzem; odbyłem kampanią chińską w stopniu porucznika; biłem się pod Langensalza, jako oficer ordynansowy księcia Ernesta Hanowerskiego, i dałem jeden z ostanich strzałów w bitwie pod Aszaffenburgiem. Nazywam się Benedykt Turpin, jestem kawalerem Legii honorowej i orderu Gwelfów.

Oficerowie odsunęli się na bok, zamienili z sobą kilka słów pocichu, poczem oznajmili Benedyktowi, iż zgadzają się na jego żądanie.

Weszli razem do kawiarni, i wszyscy trzej usiedli przy stoliku jenerała.

Sturm podniósł głowę i zobaczył siedzącego naprzeciw siebie Benedykta; poznał go od pierwszego wejrzenia.

— A! to pan, rzekł i pobladł nieco.

— Tak, ja panie, odrzekł Benedykt. Oto panowie ci nie wiedzą jeszcze o co między nami chodzi; obiecali jednak wysłuchać objaśnienia i być moimi świadkami w pojedynku. Czy raczysz pan pozwolić abym w jego obecności wyjaśnił im powód spotkania, zanim wszyscy udamy się na plac boju. Pamięta pan zapewnie, iż blizko rok temu miałem zaszczyt odebrać list pana, w którym raczyłeś napisać: iż góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem spotkać się może, i że w dniu w którym się spotkam z panem po za granicami Królestwa Pruskiego, nie będzie pan żadnych stawiać trudności co do dania mi żądanego zadośćuczynia?

Jenerał podniósł się z krzesła.

— Zbytecznem byłoby, rzekł, przedłużać tę rozprawę w kawiarni, gdzie wszyscy obecni słyszéć ją mogą; możesz pan objawić tym panom skargi i zarzuty o jakie, zdaje ci się, możesz mnie obwiniać, a z których ja bynajmniej tłomaczyć ani uniewinniać się przed nimi nie myślę. Napisałem panu iż w danych razach gotów jestem dać mu żądane zadośćuczynienie — nie cofam słów moich. Zostaw mi pan tylko tyle czasu, abym wrócił do hotelu uprzedzić dwóch z moich przyjaciół — oto wszystko czego żądam.

— Nie mam nic przeciw temu, odrzekł kłaniając się Benedykt.

Sturm opuścił kawiarnię, Benedykt i dwaj oficerowie wyszli także.

Jenerał wszedł do hotelu *Louvre'u*; zaczekali przed bramą.

Podczas dziesięciu minut oczekiwania, Benedykt opowiedział oficerom całę sprawę; jak jenerał Sturm chciał zmusić swego szefa sztabu, barona Fryderyka von Below, aby mu wymienił nazwisko najbogatszych obywateli Frankfurtu, aby włożyć na nich olbrzymią kontrybucyą, a gdy tenże odmówił stanowczo, wywiązała się sprzeczka, w następstwie której jenerał uderzył majora szpicrutą; jak mimo tego odmówił znieważonemu zadośćuczynienia, wskutku czego, uważając się zniesławionym, baron von Below zastrzelił się, przekazując mu swoją zemstę.

Następnie opowiedział co zaszło między nim a jenerałem, który i z nim także nie chciał się pojedynkować, pod pozorem, iż nie chce dawać złego przykładu oficerom; a nareszcie kazał tegoż samego wieczoru przyaresztować, odstawić na dworzec kolei kolońskiej i pod eskortą odwieźć do Kolonii, gdzie w chwili wyjazdu oddano mu list, o którym właśnie nadmienił jenerałowi.

Skończył właśnie to opowiadanie w chwili, gdy ukazał się jenerał z dwoma świadkami. Byli to dwaj oficerowie ze świty królewskiej: jenerał i oni zbliżyli się z ukłonem do Benedykta. Oddawszy ukłon, ręką wskazał świadków swoich świadkom jenerała. Wszyscy czterech odeszli nieco na bok. Po kilku chwilach świadkowie Benedykta podeszli ku niemu.

— Wszak zostawiliście panowie jenerałowi wybór broni? zapytał.

— Tak, panie, odrzekli; jenerał wybrał szpady. Przejeżdżając około puskarza, kupimy szpady, kórych żaden z panów znać nie będzie, i ztamtąd udamy się na plac boju. Zaproponowaliśmy, aby pojedynek odbył się po za najbliższemi fortyfikacyami; sekundanci jenerała zgodzili się na to. Jenerał i sekundanci jego wsiądą do odkrytego powozu, my do drugiego, a że nie znają drogi, my pojedziemy naprzód i wybierzemy broń w pierwszym napotkanym składzie.

Kazano garsonowi sprowadzić dwa otwarte powozy; oficerowie żuawów ofiarowali się zabrać swego naczelnego chirurga; sekundanci jenerała chętnie na to przystali. Jeden z oficerów wpadł do koszar, zabrał chirurga, który uprzedzony o co chodzi, wziął niezbędne narzędzia i wsiadł do powozu Benedykta i jego świadków. Jenerał Sturm ze swymi świadkami jechał za nimi w pewnej odległości.

Pierwszym na ich drodze był skład broni Claudin'a; w oknie wystawowem porozkładane były różne szpady. Znając subjekta, Benedykt szepnął mu:

— Zapisz szpady na mój rachunek, i podaj do wyboru tym panom siedzącym w drugim powozie.

Przedstawiono jenerałowi trzy szpady; wybrał najlepiej nadające się do jego ręki; zapytał o cenę, odpowiedziano mu, że już zapłacone.

Dojechano do rogatek Gwiazdy. Jadąc czas jakiś zewnętrzną linią fortyfikacyjną, zatrzymali się nareszcie w miejscu dość odosobnionem; tu wysiedli z powozów.

Grunt był równy, doskonale nadający się do pobnego pojedynku.

Sekundanci jenerała przedstawili Benedyktowi szpady, których nie widział dotąd. Rzucił tylko na nie okiem i widział że oprawa i kaliber były jakby dopasowane dla niego. Widać i jenerał sądził tak samo, gdyż on to je wybrał.

— Kiedy walka ma ustać? zapytali sekundanci.

— Gdy jeden z nas zostanie na placu, odpowiedzieli jednocześnie obaj przeciwnicy.

— Zdejmcie panowie ubranie! zawołali świadkowie.

Zrucili zwierzchnie ubranie i kamizelki.

— Czy jesteście gotowi?

— Tak, odrzekli.

Jeden z oficerów żuawskich wziął jedną z przywiezionych szpad i podał Benedyktowi; drugą oficer pruski wręczył jenerałowi Sturm.

— Zaczynajcie panowie, zawołali sekundanci.

Ledwie wypowiedzieli te słowa, jenerał prędko poskoczył krok naprzód, wymierzając szpadę ku przeciwnikowi z impetem i wprawą biegłego fechmistrza.

Benedykt odskoczył na bok, a spojrzawszy na obronną postawę przeciwnika pomyślał sobie:

— Baczność, widocznie jest to mistrz pewny siebie!

Przez chwilę szpady krzyżowały się; wtem nagle jenerał zrobił szybki zwrot, wysunął szpadę i stając silnie, wymierzył cios w Benedykta, tak szybki i wprawny, iż pomimo biegłej obrony, zadrasnął

go dość silnie w ramię. Koszula się rozdarła i zakrwawiła.

Benedykt tak szybko wymierzył cios odporny, ze szczęściem czy instynktem Prusak nie miał czasu zasłonić się ruchem kołowym, machinalnie obrócił pięść na zewnątrz i stanął w postawie obronnej. Uniknął więc ciosu tak silnie wymierzonego, iż jenerał zachwiał się na nogach i nie mógł zadać odpierającego uderzenia.

— Wyborny gracz! pomyślał Benedykt; warto się z nim mierzyć.

Sturm cofnął się o krok, i opuszczając szpadę, rzekł:

— Jesteś pan ranny.

— Żarty, panie jenerale, nie ma co zważać na takie zadrapanie; przecie wiesz pan, że muszę koniecznie go zabić. Słowo, rzecz święta, choćby dane umarłemu.

— Co, ty młokosie, *nase weis!* miałbyś mnie zabić! krzyknął jenerał.

— Tak, ja, młokos, jak pan mówisz; życie za życie, krew za krew!... chociaż wszystka krew pana niewarta jednej kropli krwi Fryderyka.

— *Verfluchter Kerl!* krzyknął zaperzony Sturm.

I rzucając się na Benedykta, wymierzył jedno za drugiem dwa uderzenia tak nagłe i zacięte, iż choć tenże je odparł jednakże uczuł po nad pasem zimno żelaza i znów koszula jego została rozdarta: krwawa plama ukazała się na niej.

— A! cóż u licha, wyraźnie postanowiłeś pan sobie rozebrać mnie z koszuli! zawołał Benedykt, odpierając cios zamierzony, tak obliczonym ruchem, iż byłby przebił go na wylot, gdyby tenże chcąc go uniknąć nie skoczył naprzód, tak iż obaj przeciwnicy stanęli oko w oko naprzeciw siebie, z podniesionemi szpadami.

Zanim świadkowie mieli czas wydobyć swoje szpady aby ich niemi rozdzielić, Benedykt prędko wysuwając rękę, tak silnie uderzył w gardę szpady jenerała, iż ta gwałtownie odbijając się ugodziła w twarz tegoż, tak że aż zachwiał się, twarz krwią mu się oblała.

Świadkom przerażający przedstawił się widok.

Sturm cofnął się na chwilę, z otwartemi zapienionemi ustami, zacisnął zęby, wargi krwią mu się oblały, iskrzące i zaczerwienione oczy zdawały się wychodzić z oprawy, cała twarz była sino czerwona.

— *Lumpen Hund!* wrzasnął, wywijając szpadą w zaciśniętej dłoni, gotując się do wymierzenia stanowczego ciosu, jak jaguar do skoku.

Benedykt stał zimny, spokojny, z pogardliwem spojrzeniem; wyciągnął ku niemu szpadę.

— Mam cię! rzekł uroczystym głosem, musisz umrzeć!

I ruchem spokojnym, pewnym, wymierzonym według wszelkich zasad fechtunku, zasłaniając się jednocześnie, zadał cios stanowczy.

Szpada jego utkwiła w piersiach jenerała; zostawił ją w nich jak torcador zostawia swoją w piersiach zwalczonego byka.

Benedykt stał spokojnie, skrzyżowawszy ręce na piersiach.

Przez sekundę jenerał stał, ale chwiał się na nogach; chciał przemówić, krew zapełniła mu usta; zrobił jakiś ruch szpadą, która wypadła mu z ręki; poczem sam padł na ziemię, jak drzewo, którego korzenie podcięto.

Benedykt wzniósł oczy ku niebu.

— Fryderyku, jesteś pomszczony! zawołał.

Chirurg przyskoczył do jenerała — już nie żył.

Koniec szpady przeszedł po nad prawym obojczykiem i wyszedł pod lewem biodrem, przebiwszy serce.

— Do krocset! mruknął chirurg, a to prawidłowo zabity!

Oto jaką mowę pogrzebową wypowiedziano przy zwłokach Sturma.

KONIEC.

JESIEŃ.

Ona się zbliża! Mgliste niebo oczów
Szkli perełkami to deszczu, to rosy,
Nie zdobią kwiaty wilgotnych warkoczów,
Gdzie niegdzie listek lub też zwiędłe kłosy.

Ona się zbliża! Z bladego jej czoła
Jakaś ponura i smutna myśl wieje!
Ona się zbliża! Pierzchają dokoła
Pożółkłe listki, a z niemi nadzieje...

Ona się zbliża! Choć powolnym krokiem,
Mierzy dokoła tej ziemi granice,
Lecz z coraz bardziej załzawionem okiem,
Coraz chmurniejsze i bledsze ma lice.

I ona skończy swą ziemską wędrówkę!
Już wiatr wśród nocy niesie jęk z jej łona,
Więc głowę złoży na białą puchówkę,
Którą przyniesie jej zima-matrona!

Henryk Kwiatkowski.

Z wycieczki do Węgier.

KOSZYCE. — RUDA-PESZT. — PRESZBURG

Przez L. S. W.

Nietak to dawne jeszcze czasy — lat temu kilkanaście — gdy Galicya i Węgry, kraje sąsiednie, rozdzielone pasmem Karpat, nie miały komunikacyi kolejowej. Obecnie od zachodu i od wschodu trzy drogi żelazne, jużto opasujące okolice podkarpackie, jużto przedzierające się przez same góry, łączą „królestwo Galicyi i Lodomeryi wraz z wielkiem księstwem Krakowskiem, z księstwami Oświecimskiem i Zatorskiem" (taka jest sążnista nomenklatura urzędowa) z krajami korony Św. Stefana. Tak, od zachodu z Krakowa, przez Oświecim i Bogumin (Oderberg) prowadzi wędrowca do Preszowa i Koszyc prześliczna kolej Bogumińsko-Koszycka, wijąca się u stóp Tatr węgierskich, doliną Popradu i u podnóża Łomnicy. Od wschodu, z Tarnowa, położonego w równej prawie odległości od Krakowa i od Lwowa, niedawno wybudowana kolej Tarnowsko-Leluchowska, przez prześliczne miejscowości górskie, przez Nowy Sącz — stacyą dla udających się do odległej o 6 mil Szczawnicy i Muszynę, zkąd mała milka do Krynicy, dąży również do Preszowa. Nakoniec, z położonego jeszcze o dwie godziny dalej za Tarnowem i o tyleż bliższego od Lwowa miasta Przemyśla, dąży na południe najmłodsza z trzech dróg żelaznych, zwana dawniej Łupkowską, a dziś „węgiersko-galicyjską" prowadzi przez prześliczne podgórze Sanockie i pasmo wschodnich Karpat do miasta węgierskiego Legenye-Mihalyi, zkąd na prawo mamy łącznicę do Koszyc, a dalej na południe tor żelazny prowadzi do serca Węgier i do ich stolicy — Budy-Pesztu.

Tą właśnie ostatnią drogą Łupkowską wypadło nam jechać tego lata do Węgier. Widoki wszędzie prześliczne, poczynając od samego Przemyśla, malowniczo położonego między górami i będącego podobno fortecą, lichą jak wszystkie fortece austryackie i jak się zdaje, niebardzo zasługującą na szczegółowe badanie przez oficerów cudzoziemskich, o co niedawno było tyle hałasu.

Aż do Chyrowa, zkąd inna odnoga prowadzi do Stryja i Stanisławowa, i do Zagórza, gdzie wysiadają jadący do Iwonicza, ruch na tej kolei, zresztą tylko w lecie, jest dosyć znaczny; dalej zato jest tak słaby, że pociągi chodzą bardzo rzadko, a na skromniutkich stacyach i w wagonach widzimy przerażające pustki. Dziwną istotnie jest rzeczą, jak słabemi są handlowe i pasażerskie stosunki Galicyi z Węgrami: mało kto z mieszkańców jednego kraju i to rzadko miewa interesa w drugim; co się zaś tyczy produktów i towarów, Węgry niczego podobno nie potrzebują od Galicyi, oprócz niekiedy drzewa; Galicya zaś sprowadza z Węgier tylko wino, owoce i woły.

Podług zdania ludzi kompetentnych, Galicya posiada niewyczerpane źródło bogactwa głównie w zdrojach naftowych, obfitych i ciągle nowo odkrywanych w okolicach Borysławia, Drohobycza, Stryja i Kołomyi. Produkt ten mógłby ożywić handel i przyczynić się do powiększenia dobrobytu kraju, ale cóż kiedy eksploatacya, przeważnie zostająca w ręku spekulantów izraelskich, prowadzoną jest niedołężnie i nieumiejętnie, bez korzyści dla kraju.

Kolej Łupkowska aż do granicy węgierskiej przechodzi przez kraj zaludniony wyłącznie przez rusińską ludność wiejską. Jest to lud ubogi, pracowity i potulny, wzrostu po większej części miernego i urodą nie celujący, inteligencyi, jak się zdaje słabej.

Mowa ich rusińska, w gruncie ta sama co język ludu ukraińskiego, wskutek zaniedbania, braku uprawy literackiej i napływu wielu wyrazów niemieckich i węgierskich, przybrała dziwny jakiś charakter tak że przy prędkiem zwłaszcza mówieniu, osobliwszy ten język jest prawie niezrozumiałym dla ucha Słowianina. Rzadko który Rusin mówi po polsku; rozumieją jednak nasz język. Do szkółek posyłają dzieci niechętnie, uważając naukę za pański zbytek, dla siebie niepotrzebny; duchowieństwo zaś wiejskie mało przykłada się do rozpowszechnienia oświaty. Noszą rozmaite stroje, w różnych miejscowościach odmienne, częstokroć malownicze. Mieszkający w blizkości granicy węgierskiej noszą się podobnie jak górale polscy, tylko ich bure gunie są suto szamerowene frenzlą i taśmami. Kobiety kochają się w błyskotkach i noszą moc paciorków i duże medale na szyi; koniec zawiązanej na głowie białej chusty spada z tyłu aż do pasa. Chaty ich ubogie, zawsze jeszcze kurne, odznaczają się niezmiernie dużym dachem, gdyż wieśniak tutejszy nie ma (zapewne z powodu ubóstwa) śpichrza ani stodoły lecz na strychu składa wszystkie swoje zapasy — zboże i siano; w razie pożaru, wszystko razem idzie z dymem. W niektórych tylko wioskach widziałem bardzo patryarchalne śpichlerze, złożone z cztech żerdzi, otwarte z boków i bez dachu.

Pieniądz wielką ma cenę u tych biednych ludzi: za dzień roboczy dostają zaledwie 20 centów (1 zł. 2 gr. podług dzisiejszego kursu), właściciele ziemscy wogóle mało dbają o dolę ludu, a niejeden jeszcze nęka procesami dawnych swoich poddanych, a obecnie sąsiadów.

Granica węgierska i tu, jak po większej części,

jest także granicą etnograficzną: zamiast rusińskiej napotykamy tu już ludność słowacką, która zajmuje północno-zachodni pas Węgier i sięga ku południo-zachodowi aż za Preszburg. Słowacy nazywają też siebie Słowenami, a język swój słoweńskim; jest mowa środkująca pomiędzy językami czeskim z jednej, polskim i rusińskim z drugiej strony i z tego powodu dla nas w zupełności zrozumiała. Czesi uparcie uważają dotychczas język słowacki za narzecze czeskiego, ale w ostatnich czasach Słowacy doszli do przeczucia swojej odrębności i usiłują zachować ją, o ile ciężkie okoliczności na to pozwalają. Okoliczności zaś są ciężkie z powodu, że Węgrzy dostąpiwszy samodzielności i otrzymawszy rząd narodowy, okazują od roku 1872 dążności madyaryzacyjne, to jest odmawiają praw językom słowiańskim licznych mieszkańców swego kraju i usiłują narzucić im język węgierski. A jednak w królestwie węgierskiem obok 5 tylko milionów Madyarów czyli Węgrów prawdziwych, mieszka 8 milionów Słowian. Pomimo to językiem urzędowym, sądu i administracyi jest w całych Węgrzech tylko język węgierski; podobnie i w szkołach wyższych, a nawet i w szkółkach ludowych język macierzysty Słowian jest przedmiotem podrzędnym, z konieczności tylko i w szczupłym zakresie tolerowanym, dopóki dzieci nie będą zdolne do przyswojenia sobie mowy węgierskiej. Każdy Węgier, fanatycznie przywiązany do swego języka, uważa go za nieskończenie wyższy od innych języków, a szczególniej od słowiańskich i zywi dla tych ostatnich pewną widocznią arystokratyczną pogardę. A jednak bardzo trudno byłoby dowieść historycznie lub filologicznie jakiejbądź wyższości mowy madyarskiej nad słowiańską. Rzecz ma się raczej przeciwnie: mowa słowiańska, pod względem ścisłości, bogactwa form i harmonii nie ustępuje żadnemu innemu językowi, a wiele z nich przewyższa; należy zaś do rodziny języków aryjskich, któremi po wszystkie czasy posługiwała się cywilizacya ludzkości, począwszy od starożytnych Indów, Greków i Rzymian. Język zaś węgierski, w Europie zupełnie odosobniony i zrozumiały jedynie tylko w obrębie krajów korony św. Stefana, należy do rodziny północno-azjatyckiej, do języków fińsko-turańskich i nie posiada nawet deklinacyi ani konjugacyi, lecz tylko przystawki.

W ostatnich latach Słowacy zdobyli się na kilka książek (teraz nawet podobno wychodzi zbiór pieśni słowackich), mieli kilku poetów (jak zgasły niedawno Jan Botto), ale wszelka ich działalność, ku podtrzymaniu języka ojczystego skierowana, doznaje otwartego prześladowania ze strony rządu węgierskiego, który przed kilkoma laty bezprawnie zamknął stowarzyszenie Macierzy Słowackiej w mieście Św. Marcinie. Smutno pomyśleć, że dzisiejszy rząd węgierski, pomimo bardzo liberalnej konstytucyi, zapomina o zasadzie równouprawnienia narodowości — zasadzie, której trzymali się nawet dawni królowie węgierscy, począwszy od św. Stefana: w tym to bowiem, a nie innym celu — dla uniknięcia przymusu językowego — językiem urzędowym w Węgrzech aż do wieku XVIII była „martwa”, neutralna łacina. Takie też znaczenie, jak mniemam, mają napisy łacińskie na teraźniejszych także monetach srebrnych austryackich; ale dla Węgier te same monety wybijane są z napisami wyłącznie węgierskiemi. Okazuje to wybornie i prawdziwie, że w jednej połowie monarchii Austro-Węgierskiej, pod tym samym panującym będącej, istnieje tolerancya i równouprawnienie dla wszystkich narodowości i języków, a w drugiej — niema. Rozważając podobne objawy, doprawdy wypada czasem pomyśléć, że przymus językowy, w dawnych wiekach prawie nieznany, w całej swej doskonałości jest owocem najnowszej „postępowej” cywilizacyi, którą ludzie tak się pysznić lubią.

W pierwszem znaczniejszem mieście słowackiem Koszycach, liczącem przeszło 20 tysięcy mieszkańców, mowę słowacką słychać na każdym kroku, ale daremno szukać choćby jednego słowackiego szyldu lub napisu, słowackiej książki lub gazety. Węgierszczyzna rozpościera się tu coraz więcej, a i język niemiecki, jak we wszystkich miastach węgierskich, jest tu zrozumiały i używany. Zdarzyło mi się mówić o języku słowackim z jednym światłym mieszkańcem Preszburga, Niemcem, z Czech pochodzącym, który zapatrywał się jednak bezstronnie i sprawiedliwie na prawa języków słowiańskich.

— Cóż pan chcesz — mówił — Słowacy sami niewiele dbają o swój język. Po węgiersku uczą się, bo to język dla nich potrzebny, a o wyższe uniwersyteckie wykształcenie nikt prawie u nich nie dba a przynajmniej pomiędzy nielicznymi Słowakami, którzy takie wykształcenie otrzymują, mało kto pozostaje Słowakiem — przeradzają się w Węgrów lub Niemców. W Czechach np. zupełnie co innego: tam w każdej wiosce znajdziesz pan kilkunastu lub kilkudziesięciu chłopów, którzy ukończyli gimnazyum, a kilku nawet takich, którzy skończyli uniwersytet, a pomimo tego pozostają rolnikami, i co ważniejsza, Czechami. Tacy ludzie szerzą w swej wiosce nietylko gazety i książki, ale nadto żywem słowem udzielają prostaczkom wiadomości i poglądów, rozjaśniających ich umysły i wzmacniających poczucie narodowości. Taki przykład, takie żywe słowo, wierz mi pan, znaczy niezmiernie wiele, zwłaszcza u takiego ludu, który nie posiada narodowej inteligencyi, albo jej ma niewiele. U Słowaków nic podobnego pan nie znajdziesz. W Czechach także i księża wpływają na lud dodatnio, a Słowakom i na tem zbywa.

Mówiąc po polsku ze Słowakami, porozumiałem się z nimi wybornie. Uderzyły mnie w ich języku wielkie podobieństwa do mowy naszych górali karpackich z okolic Szczawnicy i Zakopanego, tak samo *hej* oznacza u nich potwierdzenie (= tak); podobnież używają zamiast *pan* trzeciej osoby *oni*, *piękny* po słowacku *szumny*, nazwisko *mieno* (miano), nazywać się *mienować se* (mianować się) i t. d. Często, słysząc mowę słowacką, zdaje się nam, że słyszymy starą polszczyznę Reja lub Skargi. Niektórzy mniemają podobno, że nasi górale tatrzańscy są właściwie pochodzenia słowackiego, a następnie się spolszczyli; sądzę jednak, że przypuszczenie to zbyteczne, gdyż mowa słowacka jest tak do polskiej zbliżona, a dawniej musiała być jeszcze bliższą, że można ją uważać za staropolską, w rozwoju swym powstrzymaną i nieogładzoną. O Polakach i języku polskim Słowacy, pomimo tak blizkiego sąsiedztwa — rzecz dziwna — mało co słyszeli, a jeśli który zasłyszał, to „Polską” nazywa wyłącznie Galicyą i Kraków.

(D. n.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Wbrew opinii, powieść obyczajowa przez *Stanisława Grudzińskiego*, dwa tomy. Warszawa 1882 r.

Vox populi, vox Dei, republikańska ta zasada dotąd jest podstawą wszelkich objawów życia parlamentarnego, gdzie większość głosów decyduje, jako wyraz opinii publicznej. Kryteryum to jednak jakoś zużywa się i nadużywa pod wpływem manewrów stronniczych, i większość głosów niezawsze jest po stronie słuszności i prawdy; przysługuje często raczej jednostkom, niż ogółowi. Jeśli zatem większość głosów uważana za głos ogółu, nie może wszędzie służyć za jedyny sprawdzian prawdy, bo kategorya *jakości* zawsze jest wyższą od kategoryi *ilości*, to przecież przy wszelkich naradach jest jedyną możliwą wskazówką jeśli nie prawdy bezwzględnej, to prawdopodobieństwa. Opinia publiczna stronniczo lub fałszywie rozpowszechniona, zabija czasem jednostki lub wynosi je na wyżyny niezasłużonej powagi i znaczenia. Jakże często się zdarza, iż ludzie, nieidący udeptanemi ścieżkami naśladownictwa, padają ofiarą przesądów politycznych, religijnych, społecznych, osłaniających się dziwnego rodzaju puklerzem tak zmiennej i niestałej opinii publicznej.

Gdy jednak ta opinia, ta większość głosów, ów *vox populi* jedynym w danym razie jest drogowskazem w ocenianiu ludzi i wypadków, to znów z drugiej strony, staje się poprostu niedorzecznością stosowany w rzeczach naukowych, gdzie głos jednego Kopernika przeważa miliony głosów współczesnych i minionych pokoleń. Wiadomo przecież, że Akademia Francuzka, będąca wyrazem uczoności nie tylko francuskiej, ale europejskiej, niejednego dopuściła się błędu, nie poznawszy się na wynalazkach, i odkryciach, które uważane przez nią za *absurdum*, dziś są prawdą nieulegającą wątpliwości.

O tego rodzaju opinii publicznej wspominamy nawiasowo tylko, gdyż idzie nam głównie o opinię, którą sobie każda jednostka w większym lub mniejszym zakresie pozyskuje wśród swoich najbliższych. Mówimy o tej opinii prywatnej, opierającej się na przysłowiu, że *wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi*. I w samej rzeczy, owi sąsiedzi, jeżli nie są idiotami, fanatykami lub ignorantami z pod ciemnej gwiazdy, lecz poprostu ludźmi uczciwymi i rozsądnymi, to opinia ich, jako bezstronna często jest bardzo trafną i prawie nieomylną. Takiej opinii lekceważyć sobie nie można. Kto chce mieć, jak to mówią, mir między ludźmi i ustrzedz się niechybnego zawodu, ten ją uszanuje i przeciw niej postępować nie będzie. Biada temu, co dla jakichkolwiek pobudek idzie *wbrew opinii*, prędzej lub później pożałuje tego, zwłaszcza gdy ta opinia opiera się na faktach niezaprzeczonych.

Autor rozbieranej przez nas książki, p. Stanisław Grudziński, w powieści swojej przedstawił tę prawdę i okazał, jak wpłynęła na los dwojga ludzi.

Młoda, niezwykłej piękności i nieuboga panna, nosząca w powieści imię Laury, wyobraziwszy sobie w swej przewróconej złem wychowaniem główce, że jest wyższą jakąś istotą, geniuszem niepoznanym, którego posłannictwem nowe wskazać drogi zacofanemu społeczeństwu swemu, gdy utraciła ojca, który pracą i zabiegliwością, dość znacznego dorobił się majątku, korzystając z niedołęstwa ślepo kochającej ją matki, rozpuszcza wodze wszystkim swym zachciankom; nic sobie nie robiąc z opinii publicznej, wyjeżdża za granicę, do Włoch i tam trwoni ojcowski majątek na przeróżne fantazye, do których i romansowanie policzyć należy. A chociaż do jawnego skandalu nie przyszło, nikt się jednak z licznych adoratorów nie znalazł, coby zażądał jej ręki i serca.

Brakiem zasobów pieniężnych zmuszona wracać

do kraju, smutnie spędzała czas w obdłużonej wiosce, gdyż uważając wszystkich za niedołęgów i głupców, niczyjej nie może zyskać sympatyi, a chociaż jest piękną, każdy od niej stroni. Lekkomyślnością zaś, zarozumiałością i nieuczciwem postępowaniem z wierzycielami, którzy idąc jej w pomoc, ostatni swój grosz pożyczali, najgorszą na siebie ściąga opinią w całej okolicy. Lecz ona, jakeśmy powiedzieli, nic sobie z tego nie robi. Gdy widzi nieuniknioną ruinę majątkową, całą swą przyszłość buduje na swej piękności, talentach i poetycznej zdolności!... Jakoż w części nie zawiodła się.

Przyjechał w tamte strony, do swojego przyjaciela pan Adam Sępiński, człowiek nie pierwszej młodości, lecz wszechstronnie ukształcony, zdrów i przystojny. Pracą, prawością i zdolnościami swemi doszedł do wysokiego stanowiska na urzędzie, a mając przytem dość znaczny majątek, postanowił osiąść na wsi i pojąć sobie dozgonną towarzyszkę. Serdecznie i gościnnie przyjmowany przez tamecznych obywateli, spotykał niejedną piękną kobietę i młodą i gospodarną i ze znacznym posagiem, lecz do żadnej z nich serce mu żywiej nie uderzyło. Oddawał każdej z nich zasłużone pochwały, lecz został obojętnym—nie mógł znaleźć przeznaczonej mu losem bogdanki. O Laurze słyszał wiele, a najwięcej od swego przyjaciela, który mu odradzał zbliżać się do niej, będąc pewnym, że kobieta tak złej używająca opinii nie może mu szczęścia zapewnić. Gdy wszakże nikt nie sformułował Adamowi jasno, co właściwie miano przeciwko pannie Laurze, powodowany ciekawością, a może też podejrzeniem, iż ona jest tylko ofiarą prowincyonalnej zazdrości, postanowił sam przekonać się o wszystkiem, i dopóty nalegał na przyjaciela aż go zawiódł do pani Karpińskiej, matki panny Laury. Opuszczona wioska, zaniedbane gospodarstwo, a szczególniej sam dwór i jego wnętrze przykre uczyniły wrażenie na Adamie, lecz sam widok czarującej, poetycznej dziewicy kazał mu zapomnieć o wszystkiem. Jakiemi sposobami Laura zdobyła sobie serce Adama, człowieka rozumnego, znającego świat i niełatwo ulegającego magnetycznemu wpływowi pięknych oczu, opisywać nie poważamy się, odsyłając czytelnika do samej powieści w której ten ustęp po mistrzowsku jest skreślony.

Adam *wbrew opinii* życzliwych sobie osób ożenił się z Laurą.

On był szczęśliwy i ona była szczęśliwą.

Szczęście to wszakże trwało niedługo.

Gdy on znajdował w niej urzeczywistnienie marzeń swej młodości — ona... nudzić się zaczynała. Gdy on nie posiadał się z radości, zostawszy ojcem — ona w macierzyństwie widziała tylko przeszkodę do błyszczenia w świecie. Odwiodła męża od kupienia posiadłości wiejskiej, spodziewając się, że tylko w mieście jej piękność i poetyczne (?) zdolności należytą znajdą ocenę. Jakoż z rozkochanym w niej Adamem, co chciała zrobić mogła swemi pieszczotami i pozorną uległością. Bogaty salon, goście, niewinne w początkach stosunki z młodzieżą, kilka jej artykułów pełnych czczej deklamacyi o emancypacyi kobiet, które wydrukowano bezimiennie, przenosiły ją do siódmego nieba. Kobieta ta kochając tylko siebie, nie mogła kochać ani męża, ani dziecka nawet swego. Jeśli nie była jeszcze występną żoną, to już była złą matką. Gdy romansu prowadzić nie mogła natrafiwszy na uczciwego młodzieńca, gdy literackie zachcianki zrobiły *fiasco*, — bo pomimo pewnych zdolności, mało miała nauki, a pracować nie chciała i nie umiała, gdy wreszcie *komeraże* zakradły się do jej salonu... zapragnęła zmiany. Teraz sama nalegała na męża, aby kupił majątek ziemski. W tym celu wyjechali oboje do stryja Adama, człowieka zacności wielkiej, lecz surowości Katońskiej. Tu Laura spotkała się z hrabią, dawnym swym znajomym jeszcze z pobytu we Włoszech... Adam jeżdżąc ze stryjem na oględziny majątków będących do sprzedania, pewnego razu niespodzianie późno w nocy wrócił do domu i zastał żonę sam na sam z hrabią... Szlachetny Adam ani jednem słowem nie dał poznać wiarołomnej Laurze, jak głęboką zadała mu ranę; z rozpaczą w sercu bez żadnych scen, na pozór zimny i obojętny uwiózł ją tylko do Warszawy, pragnąc, jeśli on utracił żonę, aby córka nie traciła matki. Laura ujęta tą szlachetnością męża, spokorniała, stała się jakby inną kobietą, spodziewając się, że z czasem przez swoją uległość i cnotliwe postępowanie potrafi jego miłość odzyskać. Nie wytrwała jednak w tem postanowieniu, tak była do gruntu zepsutą, bo kiedy właśnie Adam gotów był przebaczyć żonie i jak przyjaciel czuwać nad kobietą, co jego nazwisko nosiła... Laura uciekła z domu porzucając męża i córkę... i już nie wróciła. Adam pod tym nowym ciosem nie upadł na duchu; zajął się wychowaniem jedynaczki i zwolna odzyskiwał spokój, chociaż nie mógł zapomnieć o wietrznicy, pozującej na istotę wyższą, poetkę, artystkę, a będącą tylko roznamiętnioną egoistką.

Stara to jak świat historya, że człowieka szlachetnego i rozumnego piękna kokietka wciągnąwszy w swe sidła, zdradziła i opuściła. Pomysł więc powieści nie nowy, nie odznaczający się żadną ekscentryczną wyjątkowością, ale światło, którem cały obraz został rozjaśniony, ale tło jego, ale osoby na nim odrysowane, tak są nowe, dzisiejsze, jakby je autor z natury modelował. Co do pomysłu, krytyka nie może mieć do niego pretensyi, gdyż byłoby to samo, co ganić poetę, iż miłość opiewa i opisuje piękność wiosny, wszak to rzeczy tak dawno znane... Zastanówmy się raczej, czy p. G. konsekwentny był wszędzie? czy naturalnie rozwinęły się charaktery dwóch głównych osób w jego powieści... jego i jej?

On... światła strona obrazu... jeden z ludzi wyższych, na których nam, dzięki Bogu, jeszcze nie zbywa, pomimo z każdym dniem potęgującego się sobkostwa ochrzczonego mianem pozytywizmu i praktyczności, — pierwsze lata młode spędził na nauce i pracy koło dobra ogólnego; uczuć swoich nie trwonił na miłostki i małostki, rozum więc jego i serce jego zostając w harmonii, doszły do należytego rozwoju; o ile rozum i doświadczenie nakazywały mu być ostrożnym, niedowierzającym, o tyle serce zachował czyste i niewinne. Adam, ten *vir* w całem tego słowa znaczeniu, zapragnął szczęścia ogniska rodzinnego... to rzecz najnaturalniejsza w świecie. Zachodzi tylko pytanie, dlaczego człowiek tak rozumny i uczciwy nie umiał wybrać sobie godnej towarzyszki? Jedno z dwojga: albo Adam nie był takim, za jakiego autor nam go przedstawił, albo jeśli był, to właśnie dlatego, że mu wszyscy odradzali Laurę, jako człowiek samodzielny postąpił sobie *wbrew opinii*. Niestety, to ostatnie przypuszczenie jest prawdopodobniejsze. Życie nas przekonywa, że niejeden Adam bąka strzelił, zbytecznie zaufawszy sobie, niejednego szlachetnego i rozumnego człowieka piękna zalotnica wykierowała na dudka. Niepodobieństwem, aby taki Adam nie poznał się na takiej Laurze, lecz sądził widocznie, że jego rozum i serce starczą dla nich dwojga. To jedynie tłomaczy autora, gdyż na chwilę przypuszczać nie chcemy, aby jedynie blask pięknych, dużych czarnych oczu Laury, kierował jego wyborem.

A ona... jaszczurka świetnemi połyskująca barwami, pomimo dość licznych poświęconych jej ustępów, pozostaje dla czytelnika pewnego rodzaju sfinksem; nie znamy genezy jej charakteru, nie wiemy, pod wpływem jakich osób (pani Rosa niczego nie uczy), jakich książek, jakich okoliczności, ukształtowała się ta uosobiona obłuda. Zresztą, niech sobie będzie Laura taką, jak wiele podobnych jej kobiet, lecz mamy żal do autora, że ją przedstawił, jako poetkę, jako literatkę. Porozumiejmy się. W ostatnich czasach rzeczywiście, na wielkie utrapienie redaktorów pism peryodycznych, zjawiła się dość znaczna liczba wierszokletek z przewróconemi głowami, nie mających ani zdolności, ani jakiej takiej nauki. Gdy im wiersze nie dopisały, rzuciły się na prozę, w której zwykle wszystkiego było po troszę, prócz sensu. Takie osobistości nie zasługują aby je uważać za poetki, literatki. Zresztą nie są one szkodliwe, i jeśli nie zostały aktorkami prowincyonalnemi, to stały się lub stać mogą wcale niezłemi żonami. Z drugiej znów strony, jak czytającemu ogółowi wiadomo, mamy kilka kobiet-autorek rzeczywiście zdolnych, pracujących z zaszczytem dla siebie i pożytkiem dla literatury, byłoby to więc ubliżać im, porównywając z piękną awanturnicą. Życie utalentowanych kobiet inną skalą się mierzy, niż życie zwykłych śmiertelniczek. Dla kobiet płochych, namiętnych i samolubnych, każda broń jest dobrą, chętnie więc drapują się w szaty artyzmu, lecz potrafią złudzić tylko profanów... Adam profanem nie był.

O ile Adam pociąga nas do siebie, jako postać dobrze pomyślana i dobrze wykonana, o tyle Laura razi nas jakimś nienaturalnym blaskiem, w głosie jej czujemy jakąś nutę fałszywą. Tak ponętnie odmalowana jej powierzchowność, nie sprawia na nas głębokiego wrażenia.

Inne osoby wchodzące do powieści, którą słusznie autor nazwał obyczajową, bo taką jest w istocie, wybornie uwydatniają się przez artystycznie użyte kontrasta. I tak naprzeciw *hrabiego* o historycznem nazwisku, próżniaka i marnotrawcy, kochanka i uwodziciela Laury, postawił nam autor zacnego i szlachetnego *Prońskiego*, który nie mógł pozostać obojętnym na wdzięki Laury, prawie rzucającej mu się na szyję; przebolał, przecierpiał, ale nie uległ, nie zdradził przyjaciela i dobroczyńcę swojego. A samej Laury, czyliż wybornem nie jest przeciwstawieniem panna *Julia Grabowicka!* Ta zbuntowała się również przeciw opinii, lecz z jakże odmiennych i szlachetnych pobudek! Ta również zapragnęła być literatką, i cichą, a wytrwałą pracą dopięła swojego celu. Ujemna strona naszego społeczeństwa, reprezentowana przez niedołężną panią *Karpińską* i przewrotną *Prezesową*, znajduje kompensatę w takim zacnym oryginale, jakim był p. *Marcin*, w całym domu rozumnych i szlachetnych państwa *Ożyckich*. Drobne figurki, jak malarza i redaktora są typami w swoim rodzaju.

Co do architektoniki powieściowej, przyznać musimy, że autor, którego rosnący i rozwijający się talent oddawna w naszem piśmie z przyjemnością zaznaczamy, stał się jej zupełnym panem: buduje z pewnością środków, któremi rozporządza i skutków, jakie osiągnąć pragnie. Nie masz tu wahania się, naciągań, sztucznych intryg, nieprawdopodobnych wydarzeń, lecz rozwija się natural-

nie, bez żadnych skoków łamańców, obliczonych na drażliwość nerwów dobrodusznego czytelnika.

Jaka przewodnia myśl w powieści p. Grudzińskiego, z samego jej tytułu łatwo poznać można. *Wbrew opinii* postąpił sobie jej bohater i odpokutował to w tem, co miał najdroższego w życiu. Jak we wszystkich swoich dawniejszych utworach powieściowych, tak i w obecnym autor wypowiada jasno swoje zasady i przekonania etyczne, społeczne a nawet artystyczne. Można się na te poglądy godzić lub nie, to rzecz indywidualna, lecz każdy na to zgodzić się musi, że one są szczere, rozsądne i właściwie zastosowane do położenia, w jakiem się nasza społeczność znajduje. Większą część swojego *credo* włożył autor w usta występujących w powieści osób, mianowicie też Adama, wybornego typu światłego obywatela, który nie rzucając się w krańcowości i nie zrywając z przeszłością idzie wciąż naprzód!

Kończąc nasze sprawozdanie o tym najnowszym utworze p. Grudzińskiego, nie potrzebujemy dodawać ani o jego obrazowym stylu, ani o prześlicznej polszczyźnie, gdyż pod tym względem autor pozyskał sobie powszechne uznanie.

J. Pracki.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Grudnia 1881 r.

Przy nadchodzącym nowym roku i obowiązujących tu kolendach, wielkie magazyny otworzyły wystawę okrywek, sukien i mnóstwa innych przedmiotów do zimowego ubrania. Zwiedziliśmy pilnie magazyn *Petit St. Thomas*, położony na wytwornem przedmieściu St. Germain; dajemy tu opis strojów, które nas szczególniej uderzyły.

Z pomiędzy materyi na suknie podobała nam się bardzo mora w atłasowe pasy tegoż samego koloru: pasy te rozmaitej są szerokości, na dwa albo trzy cale. Do najmodniejszych należą dzikie odcienia zielonego koloru; *chmielowy*, *rozmarynowy*, lub popielato-zielonkowaty, połyskujący srebrem, jak listki drzewa oliwnego. Bardzo też modny kolor zwany *Terre cuite*, czyli brązowy zachodzący w ciemno-*caroubier*. Do takich sukien spódniczka bywa zawsze z gładkiego atłasu, przybrana zaprasowanemi wolantami.

Na strojniejsze jeszcze suknie, uważaliśmy adamaszek w kwiaty *pompadour*, zazwyczaj w dwóch kolorach. Jeden z nich na tle ciemno oliwkowym, miał róże koloru ciemno-*caroubier*, inny na tle brązowym, róże *viel or*, a niektórych tło i deseń tegoż samego były koloru, spódnica zawsze gładka atłasowa.

Dajemy opis kilku gotowych ubrań, na wizytę lub obiad proszony.

Suknia z mory i atłasu w kolorze *Terre cuite.* Spódnica do ziemi atłasowa, naszyta w koło pięcioma wolantami, szerokości ćwierćłokciowej: wolanty morowe i atłasowe, dawane na przemiany; każdy z nich kilka razy przemarszczony w górze. Od boków na tył spada draperya morowa. Stanik do tego atłasowy, długi zachodzący na biodra; z pod spodu wychodzi plastron, czyli kamizelka morowa. U rękawów odwinięty mankiet morowy.

Inna strojniejsza jeszcze suknia czarna atłasowa: spódniczka do ziemi, naszyta cała zaprasowanemi falbankami w liczbie dziesięciu. Każda falbanka pokryta czarną lekko przymarszczoną koronką. Stanik z przodu, wycięty czworograniasto, na plecach zachodzi do góry. Na wierzch garnirunek z czarnej koronki, tworzy chusteczkę otwartą, łączącą się w stanie. Od boków rozchodzi na obie strony draperya z atłasu, ogarnirowana koronką, spuszczona w tyle aż do dołu spódnicy.

Kostiumy do wyjścia na ulicę, noszą wogólności bardzo skromne w kolorach ciemno granatowym, ciemno zielonym lub brązowym. Tkaniny przyjęte na nie powszechnie: *Twin*, *Cheviot*, *Limousine*, są rodzajem korciku, w drobne niewydatne paski, kratki, lub drobny marmurek. Taki kostium składa się zwykle ze spódnicy z wolantem zaprasowanym, szerokim do kolan, nad tem przechodzi bryt plisowany w poprzecz, tworzy w tyle podpiętą draperyą. Takiż sam obcisły paletocik, spina się na jeden lub dwa rzędy metalowych guzików.

Strojniejsze kostiumy wełniane robią z cienkiego sukienka, haftowane jedwabiem tegoż samego koloru. Inne okładają wydrą albo skonksami; niektóre zdobią aksamitem.

Zwrócił uwagę naszą ładny kostium z kaszmiru w kolorze wydrowym. U dołu spódnicy szły dwa wolanty szerokie na pół łokcia, w zaprasowane fałdy. Nad tem przechodziła w poprzecz draperya. Końce od niej, tworzyły z tyłu wielkie spadające pukle. Stanik długi francuzki nie schodził się z przodu na ćwierć łokcia: z pod tego otworu, wyglądał plastron aksamitny, połączony z obu przodami, rzędem metalowych emaliowanych guzików; rękawy miały szeroki mankiet aksamitny.

Moda krótkich do łokcia rękawów, zaczęła ustępować z nadchodzącą zimą. Robią je bardzo obcisłe u ręki, niekiedy bez mankieta, spięte na rząd guzików. Rękawiczka dosyć długa zachodzi na rękaw.

Widzieliśmy dla młodej osoby ładną suknię z tkaniny wełnianej *voile* w kolorze jasno pawim (zielonkowato-niebieskim). Spódniczka miała dwa szerokie wolanty. W górze kilka razy przemarszczone, u dołu zaprasowane. Powyżej przerzucona była dokoła draperya. Od stanu spadała tunika, w górze zmarszczona kilkanaście razy, poniżej zaś tworząca trzeci wolant. W tyle ułożone były pukle z tejże tkaniny, podszyte materyą jedwabną. Stanik długi gładki z bawetem, spinał się na szmuklerskie guziki.

Mnóstwo daje się widzieć sukien wełnianych, z wolantami haftowanemi w maszynie w deseń angielski: haft bywa naczęściej tego samego koloru, czasami znów odmienny: uważaliśmy naprzykład wolanty czarne haftowane białym jedwabiem — brązowe z *viel or*, ciemno granatowe z caroubier i t. d. U dołu spódniczki idą zwykle dwie falbanki, przedzielone od siebie wodą, przemarszczaną w górze; przód, odpowiedni ma garnirunek. Od stanika rozchodzi się na obie strony, draperya ogarnirowana falbanką — tworząca w tyle puff przytwierdzony kokardą ze wstążki atłasowej.

Mora w rozmaitym rodzaju stanowi główną w tym roku nowość. Oprócz zwyczajnej mory jedwabnej, widzimy także aksamit i plusz wyrabiany w morowy deseń. Na tkaninach wełnianych, takiż deseń jedwabny bardzo ładnie wygląda. — Noszą także bardzo spódniczki pod suknie i paletociki czarne atłasowe, pikowane w maszynie w różne zakręty, naśladujące morę.

W pięknym magazynie pani Brie oglądaliśmy zimowe kapelusze: najwięcej widać pluszowych lub też kastorowych z długim włosem. W rozmiarach kapeluszy dwie widzimy ostateczności:

Jedne z nich ogromne, z odwiniętem rondem, otoczone długiem piórem strusiem wkoło główki, służą tylko dla bardzo wysokich osób, noszą je czarne lub brązowe, do tych ostatnich pióro nakrapiane bywa kolorem złotym *viel or.*

Drugą znów ostateczność stanowią kapelusiki maleńkie, jakby dla rocznych dzieci. Jest to jakby gniazdeczko, pokrywające tylko wierzch głowy, upięte z pluszu czarnego, śmietankowego, śliwkowego, wydrowego i t. d. Małe piórko strusie, gładkie lub nakrapiane, spadające na bok, stanowi całą ozdobę. Kapelusiki te wiążą się pod brodą na szerokie szarfy z mory albo atłasu. Zwrócił uwagę naszą ładny kapelusz czarny pluszowy, średnich rozmiarów, pod rądkiem szła *en diademe* plisa z ciemno-pąsowego aksamitu, na to od brzegu ronda spadała czarna hiszpańska koronka: szarfy pluszowe niedługie, wkończach ogarnirowane były takąż koronką.

Płaszczyki zwane *pelisse*, przymarszczane u szyi i poniżej pleców, rozcięte u dołu, nad rozcięciem ozdobione wielką kokardą, upowszechniają się coraz bardziej. Opis ich daliśmy już w dawniejszym sprawozdaniu, mówiąc o okrywkach pań Kuhnke. Widzimy takie płaszczyki z atłasu, adamaszku, wigoniu i kaszmiru, podbite ciepłą flanelą, watą, niekiedy lekkiem futrem. Atłasowe obszywają wydrą, pluszem, plumażem lub frendzlą sznelową, zdobią torsadami i kwastami; kaszmirowe okładają czarnem futerkiem.

Wśród kołnierzyków pojawił się nowy rodzaj. Jest to poprostu kawałek koronki długi na trzy ćwierci łokcia, odwinięty płasko od szyi, bez żadnego przymarszczenia. W miejscu gdzie się koronka schodzi, przypięty pęk pukielków z wązkiej morowej wstążki. Pod spód idzie zwykle wąziuchna fryzka z *crepe lisse.* Do codziennego ubrania noszą takie kołnierzyki półbatystowe lub perkalowe z angielskim haftem; pod spód kładzie się zwykły stojący kołnierz. Mankietki do tego odpowiednie, wyłożone na rękaw.

Maleńkie chusteczki lub krawatki pluszowe w różnych kolorach, używane powszechnie do wyjścia na ulicę.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

† W N-rze 307 „Biesiady Literackiej” zacny jej sprawozdawca „Sęp” pisząc o kilku ogłoszonych u nas konkursach przeważnie na dzieła ludowe, oraz o konkursie Rady lwowskiej na napisanie monografii o królu Janie Sobieskim, konkursie który, purpurą królewską imponuje po nad innemi i stanie się jedną z najpiękniejszych pereł dyademu jubileuszowego, jakim naród zamierza uczcić wspomnienie dwuchsetnej rocznicy oswobodzenia Wiednia, przedstawia jubileusz ten za jeden z najważniejszych, jako przypominający chrześciaństwu zasługi położone dla cywilizacyi przez męztwo dawnego polskiego rycerstwa. Gdyby dzielni ci wojownicy nie starli głowy azyatyckiej hydry, dziś może cała Europa jęczałaby pod jej jarzmem: to też w uroczystości tej całe chrześciaństwo powinnoby przyjąć udział. Dalej pisze: „Dziwi was pewnie żeście w gronie obywateli zapraszających literatów, uczonych i artystów do wy-

ścigów konkursowych, nie spotkali ani jednego nazwiska *wsławionego* na torze warszawskim, moskiewskim, paryzkim... dziwi was, że ci co na staj nie wydają krocie, nie mogli zdobyć się na ofiarę kilkuset rubli, za dobrą książkę dla ludu — ależ to łatwo zrozumieć. Specyalność przechodzi w krew i kości; w oczach sportmanów świat cały wygląda jak stajnia; ogon koński reprezentują im opinie kraju, kopyto—lud wieśniaczy, a siodło i kurtka—obowiązek obywatelski — dbając o te atributy, sportmani są przekonani, że czynią wszystko co do nich należy. Zapytajcie którego dlaczego nie występuje w szrankach oświaty, odpowie z dobrą wiarą, że na innej drodze spełnia swe obywatelskie posłannictwo, i powoła się na hrabiów Br., tego co umarł i tego co żyje, mówiąc: alboż oni także nie są obywatelami, chociaż o chłopskich elementarzach nigdy nie myśleli?... Z jakie sto razy pisma nasze podały wiadomość: iż hr. Br. w zamku swoim francuzkim wynalazł dowód na to, iż jeden z przodków jego zorganizował i zaprowadził wyścigi konne we Francyi w r. 1773, na cześć ks. Lauzon, czyż to nie mała zasługa? A że dokument ów opiewa jeszcze, iż hr. B. pierwszy dobiegł do mety — cóż więc mogło brakować do jego sławy? Było to w r. 1773 a w r. 1881, także w Spa potomek owego wielkiego wynalazcy, pamiątkę tego patryotycznego czynu obchodzić będzie wielkiemi wyścigami. Powtarzam to za naszemi czasopismami, bo na swoją odpowiedzialność nie śmiałbym puszczać w świat takiego dziwoląga.

„Śmielej już przytaczam na własny rachunek odpis z nagrobka postawionego na mogile innego hr. B., który umarł w Egipcie, a pochowany został we Francyi. Napis ten brzmi: Pod tym zimnym jak serce renegata głazem, spoczywa snem nieprzespanym pan polski wielkiej finansowej siły, głośny hr. B., który dawniej pół miliona na rannych żołnierzy francuzkich, a testamentem zapisał 200,000 fr. dla ubogich Paryża. Ojczyźnie swojej prócz kilku broszur, w których usiłował dowieść, że w żyłach polskiej arystokracyi płynie krew semicka — nie dał nic, i słusznie, bo całą swą fortunę zawdzięczał nie Polsce, która pługiem dorabia się mienia, lecz giełdzie francuzkiej, która dla hrabiego nadzwyczaj była łaskawą.

„Zimno się robi odczytawszy taki napis — to kwalifikacya na Brutusa do rzeczypospolitej Babińskiej, którą Matejko miał genialnie odtworzyć na płótnie... A jednak na grób ten nie rzucamy anatemy, — bo czyż nie przykrywamy gałązką grobu samobójcy, a nie jestże samobójcą magnat co samochcąc wydziedzicza się ze czci? Wstrętnem jest znęcanie się nad człowiekiem spadłym z tronu swej tradycyi i obowiązków — znęcanie się takie zawsze znamionuje duszę hajdamacką, co nie mogąc gryźć żywych, gryzie choć ich kości. Grzesznych magnatów pozostawilibyśmy w spokoju, gdybyśmy nie poczuwali się do obowiązku bronienia własności narodowej — a nie trzeba być komunistą aby utrzymywać, że praca nasza i jej owoce, tradycya nasza i jej siła do narodu należą. Prześlibyśmy koło grobu hr. B. spokojnie, gdybyśmy nie słyszeli chichotu cudzoziemców i nie widzieli tej mary przeszłości co błąka się od zamku do zamku, szukając tego coby czynami swemi jej wykupił. Ta mara przywodziła przed oczy hr. B. tułaczy rodaków, którzy wstydząc się żebrać, ginęli marnie w walce z niedolą, nieraz zapijając swe zdolności. Jakaś cząstka tego co hrabia dał obcym, uratowałaby wielu od rozpaczy i bluźnierstwa przeciw Bogu i ojczyźnie. Odwracał oczy od biednych rodaków wspierając rannych żołnierzy francuzkich.

Gorzkie to słowa ale tchnące niezaprzeczoną prawdą!

✝ Wspomnieliśmy o jubileuszu Jana III przypadającego 1883 r. Otóż obok postanowień Wydziału krajowego i Rady miejskiej, zapadłych w celu uczczenia pamięci bohatera, Lwowskie Towarzystwo archeologiczne, obradowało nad *sprawą zakupna zamku w Olesku na własność publiczną*. Na posiedzeniu tem, prócz innych członków, obecni byli: ks. biskup Stupnicki, prezes Akademii Umiejętności, dr. Majer, Jan hr. Zawojski i w. i. Po wyborze nowego Wydziału, w ktorego skład weszli: pp. dr. Burzyński, Kułaczkowski, Rojek, Pressen, dr. Szaraniewicz, Wojciech hr. Dzieduszyczki i Karol Widman, uradzono przedsięwziąć stosowne kroki celem nabycia pomienionego zamku. Sprawą tą ma się zająć osobny komitet, któ rego wybór przekazano nowemu Wydziałowi.

Kraków jak wiadomo, postanowił także obchodzić uroczyście dwóchsetletnią rocznicę odsieczy Wiednia, aby przypomnieć się rodakom, że jest głównym punktem tradycyi i pamiątek narodowych. Podobno artystyczną stroną tej uroczystości ma kierować krakowskie koło artystyczno-literackie. Dawniejszy sekretarz a obecnie bibliotekarz „Koła”, p. Teodor Ziemięcki, który wraz z kilku ludźmi dobrej woli, najwięcej może przyczynił się do powstania tej instytucyi, przedstawiał prezydentowi miasta, p. Weiglowi, aby na uczczenie tego jubileuszu urządzić pochód historyczny, i turnieje na dziedzińcu zamkowym, oraz bal kostiumowy w strojach, o ile można ówczesnej epoki. Pan prezydent przychyla się do tego projektu, i przyrzekł porozumieć się w tym względzie z „Kołem” w odpowiednim czasie.

✝ W drugiej połowie z. m. ks. Jan Siemieński miał w Krakowie odczyt o „Biografii Adama Mickiewicza”. Piękna ta prelekcya stanowi początek obszerniejszej od wszystkich istniejących dotąd biografii wielkiego poety. Mówca skreślił w niej szereg nader zajmujących szczegółów o rodzinie Mickiewiczów. Uzupełniając opowiadanie autentycznemi dokumentami i rycinami zdejmowanemi z natury, prelegent skreślił zarys dziecinnych lat wieszcza. Uwydatniając iż autor „Walenroda” już w poranku życia zapowiadał czem będzie w przyszłości. Mówca zakończył wykład winszując Krakowowi, że pomnik genialnego wieszcza w jego murach ma być wzniesiony. Tak to zakończenie jako też wiele miejść w ciągu prelekcyi słuchacze obsypywali gorącemi oklaskami, wyrażającemi szczere i serdeczne uznanie dla uczonego prelegenta.

✝ Donoszą z Kowna do „Gazety Warszawskiej”.

Zjechało tu do nas towarzystwo rossyjskich artystów dramatycznych, pod dyrekcyą p. Mirskiej. Trupa składa się z lichych bardzo aktorów; raz wyczytawszy na afiszu „Nowa oryginalna komedya: *„Żena na prokat”* p. Rozsochina”, udałem się do teatru. „Już pierwsza scena, pisze korespondent, przypomniała mi coś znajomego, a po kilku następnych nie mogłem wątpić, że to jest zabawna jedno aktowa komedyjka Koziebrodzkiego, drukowana w „Tygod. Illustrowanym” p. t. *„Stryj przyjechał”*. Scena po scenie tłomaczone dosłownie, tylko zamiat Krakowa, podano jakieś prowincyonalne miasto w Rossyi, a polskie nazwiska zamienione na Mordosiewów, Akakiewów i t. p. Po skończeniu przedstawienia udałem się do reżysera p. Nikolskiego, objaśnić go jak się rzecz ma; lecz oburzył się na samą myśl plagiatu, mówiąc iż *„Żena na prokat”* jest oryginalnym utworem znanego komedyopisarza Rozsohina. Dla przekonania poprosiłem o egzemplarz i porównawszy z polskim tekstem nie mogłem wątpić, że ani słówka nie zmieniono w przekładzie. Reżyser pokazywał mi afisze dowodzące iż sztuczka ta graną była z wielkiem powodzeniem w Odesie, Moskwie, Kazaniu, i wszędzie p. Rozsochin figuruje jako autor oryginalny.”

✝ W Kutnej Horze, w Czechach, zawiązało się Towarzystwo w celu zbierania składek dla wzniesienia pomnika znakomitemu pisarzowi i bojownikowi za narodowość czeską, Karolowi Hawliczkowi. Urodził się on w Borowie, na granicy Moraw, d. 31 października 1821 r. Z nazwiska swego i miejsca urodzenia, utworzył sobie pseudonim równie głośny jak prawdziwe jego nazwisko: Hawel Borowsky. Położył zasługi jako nader zdolny i niezmordowany pracownik na polu dziennikarskiem: wydawnictwa jego były nieustannie wstrzymywane lub konfiskowane przez Niemców, a on sam więziony. Był także znakomitym satyrykiem: nazywają go czeskim Heinem. Ponieważ większość poetycznych jego utworów była bezwarunkowo przez ówczesny rząd austryacki zabroniona, nie mogły więc ukazać się w druku i tylko w niezliczonej liczbie odpisów krążyły po kraju. Każdy wieśniak czeski zna nazwisko i ze czcią wspomina Hawliczka. Zmarł w więzieniu w Brixen, w Tyrolu dnia 29 lipca 1856 r. W Kutnej Horze wydawał pismo *Slovan*, mające wielkie znaczenie w dziejach odrodzenia Czech. Pomnik stanie w roku przyszłym.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Kostium wizytowy. Stanik, draperya z przodu i szereki wolant u dołu są z pluszu lub aksamitu, zaś górna część draperyi, wielka, szeroka szarfa i bufka nad wolantem jest z atłasu, repsu lub materyi surrach, kołnierz i mankiety z żółtawej koronki.

Suknia wizytowa z trenem. Odrobiona z satin merveilleux, garnirowana koronką czarną w deseń z kolorowej szneli i perełek. Z przodu stanika koronka naszyta gładko i przepinana kokardami.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 19 Ноября 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

DZIEDZICZKA.

PRZEZ

FLORENCYĘ MONTGOMERY.

Przekład

K. P.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

Lady Seaforth powtórzzła to samo prawie co już mówiła Andrzejowi, zapytując starszego syna czy już zastanowił się dobrze nad tem jaki ma sobie wybrać zawód, i czy jej plany zgadzają się z jego wolą i są odpowiednie do jego zdolności.

— Gdyż, dodała, skoro już raz rozmówię się co do tego z lordem Seaforth, nie będzie można zmienić zdania.

Kolin zgodził się chętnie na zamiary matki, i oświadczył że krzesło w parlamencie było zawsze najwyższym celem jego życzeń.

— Cieszy mnie to bardzo, odezwała się wtenczas lady Seaforth, że wasze zamiary są tak zgodne z mojemi, i przyznaję że sprawiłoby mi to wielką przykrość gdyby wasze życzenia nie zgadzały się z mojemi.

Nastąpiło milczenie w ciągu którego usłyszeli lekki szelest w przeciwnym końcu pokoju, i osłupieli prawie z zadziwienia widząc że Godfred wysuwa się za firanki i wychodzi z salonu.

V.

Starcie się sprzecznych interesów.

Lady Seaforth zerwała się z krzesła niezdolna wymówić jednego słowa, a Kolin blady z gniewu i wzruszenia, zawołał:

— To niegodny postępek, i nie posądziłbym nigdy Godfreda aby mógł uczynić coś podobnego. Zaledwie mogę uwierzyć własnym oczom!

— Podły szpieg! mruknął Andrzej.

— Jak wam się zdaje, czy słyszał całą naszą rozmowę? zapytała lady Seaforth, gdy nakoniec zdołała przemówić. Co teraz czynić?

— Jestem pewny, rzekł Andrzej, że wszedł tu pierwej niż my, i że nie stracił jednego słowa z całej rozmowy.

Lady Seaforth uniesiona gniewem, zaczęła chodzić szybko po pokoju, przypominając sobie w myśli wszystko co dotąd mówili i zadając sobie jednocześnie pytanie: czy Godfred powtórzy to wiernie stryjowi. Dręczyła ją ta niepewność, dla tego też wyszła śpiesznie z salonu i zwróciła się ku pokojom zajmowanym przez męża. Przechodząc koło biblioteki spostrzegła że drzwi do niej były trochę uchylone, a posłyszawszy głos męża, nie mogła oprzéć się pokusie podsłuchania jego rozmowy z synowcem. Trafiła właśnie na tę chwilę gdy lord Seaforth mówił:

— Może życzyłbyś sobie zająć krzesło w parlamencie? Co do mnie, wyznaję że pragnę tego szczerze. Ja nie mogłem go zająć równie jak mój ojciec i dziadek, gdyż nasze upodobania i zdolności pociągały nas do innych zajęć; ale ty, Godfredzie znajdujesz się w zupełnie odmiennem położeniu. Jak ci się zdaje, czy mógłbyś miéć dar przemawiania do publiczności?

— Nie wiem, milordzie; dawniej, w czasie moich samotnych przechadzek w góry, improwizowałem mowy na różne temata, ale jedynie dla własnej przyjemności i dla nabrania wprawy, gdyż nie miałem wcale słuchaczy.

— W takim razie musisz wypróbować swe siły podczas bankietu który zamierzam wydać dla mych dzierżawców, jeszcze przed twym wyjazdem. Ile masz lat, Godfredzie?

— Dwudziestego szóstego stycznia skończę ośmnaście.

— W takim razie będziesz miał dwadzieścia dwa w czasie przyszłych wyborów, i wtenczas także skończysz nauki w Oxfordzie, wszystko więc składa się wybornie, i z pewnością nikt nie mógłby być odpowiedniejszym od ciebie na przedstawiciela naszego hrabstwa.

Lady Seaforth nie słuchała już więcej: rozjątrzona do najwyższego stopnia, wróciła śpiesznie do synów.

— Tak, zawołała wchodząc, podsłuchał całą naszą rozmowę i pobiegł natychmiast do stryja aby zniweczyć wszystkie nasze plany! Następnie powtórzyła im to co słyszała.

— Mniejsza o to! droga mamo, rzekł Kolin spokojnie, znajdą się jeszcze inne wakujące krzesła w parlamencie, a prawdę mówiąc, pragnąłbym nadewszystko być reprezentantem własnego hrabstwa i jakiegoś szkockiego miasteczka.

— Własnego hrabstwa! szkockiego miasteczka! zawołała cierpko matka. Mówisz tak jakbyś posiadał wielki majątek, dozwalający ci ponieść koszta nieodłączne od wyborów. Kiedyż nakoniec zrozumiecie tę smutną prawdę że jesteście ubodzy, bardzo ubodzy!

— Ale, mamo! zawołał Kolin z gniewem, wszak pierwszy raz dopiero słyszymy to od ciebie. Dotąd sądziłem...

— I cóż sądziłeś? przerwała porywczo matka. Wyobrażałeś sobie zapewnie że lord Seaforth pozostawi wam znaczny majątek. Czy tak?

— W tej chwili sądzę że najlepiej będzie, jeźli porzucimy tę tak przykrą dla nas kwestyę, skoro roztrząsanie jej nie przyniesie nam żadnego pożytku, odpowiedział Kolin swobodnym i spokojnym już głosem.

Posiadał wiele zimnej krwi i starał się zawsze zmienić przedmiot rozmowy, gdy widział że matka zaczyna unosić się gniewem.

— Czy ten nikczemny szpieg zmieszał się bardzo, skoro zobaczył cię, droga matko?

— Nie widział mnie wcale, odpowiedziała lady Seaforth. Nie byłam w bibliotece.

— Jakże więc możesz wiedziéć co mówił do stryja? zapytał naiwnie Andrzej.

— Słuchałam, rzekła lady Seaforth, lecz poprawiła się natychmiast: drzwi były uchylone, i przechodząc usłyszałam kilka słów pomimowolnie.

— Bardzo tego żałuję, rzekł Kolin chłodno i spokojnie.

— Czemu? zapytała zimno lady Seaforth.

— Ponieważ nie mamy już prawa oskarżać Godfreda, skoro sami poszliśmy za jego przykładem. Choć co prawda i tak nie moglibyśmy dostarczyć żadnego dowodu na poparcie naszego oskarżenia.

Wymówka była wystosowaną do sumienia lady Seaforth, ale udała że tego nie rozumie, i odpowiedziała z wyrazem lekceważenia:

— A po cóż mamy szukać dowodów? Jeźli tylko lord Seaforth odmówi mi skoro go poproszę o krzesło w parlamencie, lub zależące od niego probostwo, będzie to najlepszym i niezbitym dowodem przewrotności i nikczemności Godfreda

— Więc mówili także o probostwie? zapytał z żywością Andrzej.

— Nie wiem, odpowiedziała matka, ale obawiam się bardzo aby i to nas nie ominęło.

Kolin, dla którego cała ta rozmowa była niemiłą i męczącą, wysunął się z pokoju; Andrzej przeciwnie, pozostał z matką i usiadł przy niej na sofce.

— Gdyby to można, rzekł, przekonać lorda Seaforth że Godfred dopuścił się tak nikczemnego szpiegostwa, osłabiłoby to bardzo jego wysokie o nim wyobrażenie.

Lady Seaforth milczała czas jakiś, a następnie zawołała z namiętnem uniesieniem:

— Ah! ten Godfred, jakże ja go nie nawidzę!

— Wiem o tem, i zasłużył na to, rzekł Andrzej, nie domyślając się że potakujące jego słowa, były dla niej czemś podobnem do balsamu gojącego rany.

Nic tyle nie dręczyło lady Seaforth jak to że nie mogła zarzucić Godfredowi aby się dopuścił czegoś nagannego; teraz zaś zdawało jej się że trzyma w ręku gotowy akt oskarżenia, który potrzeba było tylko okazać lordowi Seaforth, aby zniechęcić go do synowca.

Dzięki temu przekonaniu, mściwa kobieta odzyskała odwagę i spokojność umysłu. Wstała i rzekła uroczystym tonem wychodząc z pokoju: „Kto wiatr sieje, zbiera burzę.”

VI.

Rozwiązanie zagadki.

Wkrótce lady Seaforth doznała znów bardzo przykrego zawodu, gdyż skoro uwiadomiła męża, że Andrzej stosownie do jej życzenia, udaje się do uniwersytetu na wydział teologiczny, i prosiła aby ją zapewnił że kiedyś odda jej synowi probostwo w Seaforth, milord odpowiedział, że stosownie do prośby Godfreda, rozporządził już niem na korzyść jednego z jego przyjaciół. Od tego czasu lady Seaforth okazywała już jawnie swą głęboką niechęć do synowca męża, i nie pominęła żadnej sposobności dokuczenia mu złośliwemi przymówkami, i uszczypliwemi uwagami. W czasie obiadu rzucała mu dwuznaczne słówka, lub chcąc go zmieszać, wpatrywała się w niego długo i przenikliwie, co jednak chybiało celu, gdyż Godfred wytrzymywał spokojnie jej spojrzenie.

— Jakaż to zuchwałość! jaka bezczelność! mówiła wtenczas do siebie lady Seaforth.

Synowie jej znajdowali się w bardzo trudnem położeniu; Kolin zwłaszcza pragnął gorąco aby matka wyzwoliła ich z niego, oskarżając otwarcie Godfreda, co dozwoliłoby mu usprawiedliwić się jeźli był niewinnym. Lecz jak na teraz nie zgadzało się to z zamiarami lady Seaforth; szczęśliwa że ma nakoniec w swej mocy nieprzyjaciela, chciała go drę-

czyć jak najdłużej zanim mu zada cios śmiertelny.

Prócz tego obawiała się uwiadomić męża o swych zabiegach i powtórzyć mu swą rozmowę z synami, na dowód że Godfred ją podsłuchał, i uprzedzając stryjenkę, pośpieszył przedstawić mu swoje własne życzenia. Mściwa kobieta pragnęła upokorzyć Godfreda, poniżyć go w oczach stryja, ale namyślała się jeszcze nad tem jakby to dokonać, nie wspominając o tem co roztropniej było zamilczeć. Przywiązanie jej do synów wzmagało się w miarę wzrastającego przekonania, że nie może spodziewać się dla nich żadnej pomocy ze strony męża, który powiedział wyraźnie: że gdyby nawet nie rozporządził jeszcze miejscami o które go prosi, nie przyrzekłby ich Kolinowi i Andrzejowi, ponieważ i nadal nie życzy sobie wchodzić z nimi w bliższe stosunki. Lady Seaforth ukryła starannie swój gniew i oburzenie, i tylko odtąd staranniej jeszcze śledziła wszystkie kroki Godfreda.

Można sobie łatwo wyobrazić niezadowolnienie tej dumnej i niesprawiedliwej kobiety, gdy Kolin pewnego dnia przyniósł jej całkiem niepożądaną wiadomość.

— Usprawiedliwiony! uniewinniony zupełnie! zawołał wbiegając do jej budoaru.

— Kto taki? O kim mówisz? zapytała z żywością matka.

— O Godfredzie, odpowiedział Kolin. Nie podpada już wątpliwości że nie słyszał ani jednego słowa z naszej rozmowy.

— Co za niedorzeczność! zawołała zdziwiona lady Helena. Zkądże ta pewność? Kto ci to mógł powiedzieć.

— On sam, gdyż właśnie przed chwilą pytałem go o to.

— Nie wierzę temu! zawołała popędliwie lady Helena.

— Zechciej tylko, droga mamo, posłuchać uważnie tego co ci chcę powiedzieć, rzekł Kolin; dotąd znasz tę sprawę bardzo niedokładnie.

— A więc mów! Powiedz co słyszałeś! Tylko proszę cię o ile można najtreściwiej.

— Godfred zaręczył mi uroczyście, że nietylko nie słyszał ani jednego słowa z naszej rozmowy, ale nie domyślał się nawet naszej obecności w pokoju, a to dla bardzo prostej przyczyny że zasnął siedząc przy oknie. Nie przyszło nam to na myśl, a jednak rozwiązuje dokładnie niezrozumiałą dla nas zagadkę, jakim sposobem mógł znajdować się w saloniku, a nie słyszeć nas i nie być przez nas dostrzeżonym.

— Nie wierzę temu! To kłamstwo! zawołała zawzięta lady, i nie cieszy mnie to wcale że tak niepotrzebnie wmieszałeś się w tę sprawę. Czemuż mam przypisać tę zbytnią gorliwość.

— Temu, że nie mogłem znieść tego aby potępiano człowieka, nie wysłuchawszy pierwej co może powiedzieć na swoją obronę. Sama myśl o tem budzi we mnie oburzenie. W pierwszej chwili, opierając się na pozorach, ja sam sądziłem że Godfred nas podsłuchiwał, ale nie posądzałem go ani na chwilę aby mógł użyć tych wiadomości na naszą szkodę. Czułem że nie popełniłby nigdy podobnej podłości. Dosyć spojrzeć mu w oczy aby nabrać przekonania o prawości jego charakteru.

— Doprawdy, Kolinie, że tą twoją wybujałą wyobraźnią i poetycznemi uniesieniami, przypominasz mi jakąś egzaltowaną pensyonarkę, zawołała pogardliwie lady Helena. Co do mnie, nie mogę uwierzyć zapewnieniom Godfreda, i zaręczam ci że zmyślił tę całą bajeczkę, z obawy aby stryj nie dowiedział się prawdy.

— A! droga mamo, jakże możesz mówić coś podobnego? odezwał się Kolin z wyrazem smutku i wyrzutu.

Doznał prawdziwej przykrości widząc że nienawiść do tego stopnia zaślepiła matkę, że zagłuszyła w niej wszelkie szlachetne uczucia.

— Zkądże ta pewność że spał rzeczywiście? zawołała lady Seaforth nieposiadająca się już z gniewu! Nie mamy na to innego dowodu prócz jego słowa, na które spuścić się niepodobna. Gdybyś mi powiedział że go sam widziałeś śpiącego przy oknie, to co innego, uwierzyłabym ci z pewnością; ale jest to rzecz niemożliwa. Nie ma jednej osoby ktoraby mogła potwierdzić jego słowa, zaręczyć że mówi prawdę! Tak, powtarzam raz jeszcze, że jest to zmyślona przez niego bajeczka, której nie mogę uznać za prawdę.

Kolin stał czas jakiś zmieszany i zamyślony, a potem zawołał jakby uderzony jakąś myślą.

— Wszakże mama oświadczyła przed chwilą, że uwierzyłaby Godfredowi, gdybym na poparcie słów jego mógł postawić choćby jednego tylko świadka?

— Bez wątpienia, rzekła lady Seaforth, i tryumfalny uśmiech przesunął się po jej ustach, tak ale też w takim razie tylko mogłabym uwierzyć zapewnieniu Godfreda.

— Dobrze, odezwał się znów Kolin, ja także po przestanę na świadectwie jednej tylko osoby, i proszę o pozwolenie przywołania tego świadka.

— I owszem, odpowiedziała lady Seaforth, zgadzam się na to chętnie. Zawezwij że tego świadka, wytrawny i gorliwy sędzio oraz rozjemco sporów między ludami! dodała z lekkim wyrazem ironii.

— Wybornie! zawołał Kolin, ożywiając się co raz więcej. A więc! w imię prawdy i sprawiedliwości wzywam siostrę moją Joannę, aby się tu stawiła przed nami!

VII.

Pięta Achilesa.

Nagłe wejście Andrzeja przerwało rozmowę i dozwoliło lady Seaforth ochłonąć trochę ze zdumienia wywołanego ostatniemi słowami syna. Kolin tymczasem opowiedział bratu o co idzie, a gdy skończył, matka rzekła zwracając się do niego:

Wytłomacz się Kolinie! Powiedz co to znaczy? Zkąd ci przyszło na myśl imię twej siostry?

— Wyjaśnienie będzie łatwe i krótkie, odpowiedział Kolin. W owym dniu gdy byliśmy zajęci tak ważną dla nas rozmową, nikt, prócz mnie, nie spostrzegł że Joasia weszła do pokoju, patrzyła chwilę na okno przy którem siedział Godfred, jakby tam pójść chciała, ale spostrzegłszy nas uciekła. Łatwo zrozumieć że świadectwo jej nie może ulegać podejrzeniu, dodał wyciągając rękę do dzwonka.

Na twarzy lady Seaforth malowało się żywe niezadowolnienie; postąpiła parę kroków jakby chciała powstrzymać rękę syna, ale po chwili rozmysłu usiadła napowrót blada i wzruszona.

Każda dłuższa rozmowa z Joasią była dla niej bardzo przykrą, i teraz też radaby jej uniknąć, ale wstydziła się ją okazać tego. Starała się zapanować nad sobą i odzyskała wkrótce zwykłą przytomność umysłu, a gdy wszedł służący przywołany głosem dzwonka, sama wydała mu rozkaz aby przywołał do niej miss Joanny.

W kilka minut później weszła Joasia blada i drżąca. Kolin już chciał zbliżyć się do niej, gdy matka powstrzymała go rozkazującym ruchem ręki.

— Mnie to pozostaw, rzekła, a zwracając się do Joasi, dodała: Zbliż się i odpowiedz szczerze na moje pytania; będziesz mogła następnie wrócić do swego pokoju: Czy piętnaście dni temu weszłaś do saloniku na chwilę, około godziny czwartej, kiedy już było prawie ciemno?

Dziewczynka po krótkim namyśle dała potwierdzającą odpowiedź.

— Kogoż tam widziałaś?

Joasia milczała znów chwilę, a potem rzekła wskazując braci: „Ich, i ciebie, mamo."

— Czy nie było tam kogoś więcej.

— Nie.

Uśmiech zadowolnienia rozjaśnił twarz lady Seaforth, a Kolin doznał jakiegoś przykrego uczucia.

— Jesteś więc pewną Joanno że prócz nas nie było tam nikogo, pytała dalej lady Helena.

— O! przepraszam, odpowiedziała Joasia, powiedziałam że nie było nikogo, bo nie liczyłam Godfreda siedzącego przy oknie.

— Czy był tam z pewnością?

— O! tak.

— Cóż tam robił?

— Nic. Siedział... to jest...

— To jest?... dokończ!

— Siedział z głową przechyloną...

— Tak, z głową pochyloną naprzód, dokończyła lady Seaforth, w postawie człowieka przysłuchującego się czemuś uważnie. Wszak prawda?

— O! nie, odpowiedziała Joasia, spał, z głową w tył przechyloną i wspartą na poręczy krzesła.

— Możesz odejść, zawołała popędliwie milady; oddal się.

Kolin odszedł jednocześnie z siostrą. Nie chciał być świadkiem gniewu i zawstydzenia matki; dosyć mu było że jego protegowany został zupełnie oczyszczony z krzywdzącego posądzenia.

Długo powstrzymywany gniew lady Heleny, wybuchnął nareszcie skoro drzwi zamknęły się za Joasią. Tego już nadto, szeptała namiętnie, ciągle mi się z rąk wymyka, niweczy wszelkie moje plany! Nie dość że z jego powodu zostałam upokorzoną w obec moich synów, ale jeszcze pozbawia mnie sposobności do słusznej zemsty. Co mam czynić? mówiła dalej rzucając się na sofkę, i w tej chwili Godfred przedstawił się w jej wyobraźni w postaci owego bohatera starożytności, którego matka zanurzyła w świętej rzece, aby mu nie mogły szkodzić żadne pociski i strzały.

Było jednak miejsce w które można go było ugodzić śmiertelnie, a Godfred zdawał się być zabezpieczonym i od tego. Z której strony uderzyć na niego? Jak mu dowieść coś nagannego? Z każdej próby wychodzi zwycięzko i zaszczytnie.

Gdyby przynajmniej ta nieznośna dziewczyna nie weszła tam właśnie w tej chwili, mówiła dalej ze złością, może dałoby się to jeszcze jakoś ułożyć! Czemu stało się tak a nie inaczej? Czemu? bo już samo jej urodzenie było dla mnie nieszczęściem, które od tej chwili prześladuje mnie ciągle. Jakiż zły duch natchnął ją chęcią zajrzenia do tego pokoju?

Słowa te wymówiła półgłosem, jednak Andrzej je dosłyszał, i chcąc zwrócić myśl matki na inny przedmiot, powiedział jej że Joasia szukała zapewnie Godfreda, ponieważ żyją z sobą w najlepszej przyjaźni.

— A więc cóż to znaczy? krzyknęła lady Seaforth tak ostrym głosem, że to prawie przeraziło Andrzeja; po chwili jednak wrócił do tego samego przedmiotu, użalając się że tak jemu jak Kolinowi nie wolno było rozmawiać z siostrą, gdy tymczasem jakiś kuzyn był jej przyjacielem i prawie nieodstępnym towarzyszem.

— A któż upoważnił do tego Joasię? krzyknęła znów Helena nie posiadająca się już ze złości.

— Nie wiem, odpowiedział Andrzej: ale to pewna że są często razem w pokoju na górze?

— Jakto! zawołała laay Seaforth, w pokoju przeznaczonym do nauki? Jakże jej nauczycielka może pozwolić na to?

— Nie, odpowiedział Andrzej, nie o tym pokoju mówię, lecz w galeryi obrazów, gdzie w ciągu tych wakacyi spotkałem ich już trzy razy siedzących obok siebie. Zdaje się że Joasia bardzo lubi Godfreda, gdy my, jej bracia, nie możemy nawet zbliżyć się do niej, bo ucieka skoro nas tylko spostrzeże.

Lady Seaforth nie odpowiedziała już ani słowa, tylko wyszła spiesznie z pokoju, udała się do galeryi, a otworzywszy ciężkie dębowe drzwi stanęła za niemi. Spojrzawszy w koło, dostrzegła w przeciwnym rogu galeryi małą lampkę, której światło padało na Godfreda i Joasię, rozmawiającą z kuzynem z wielką żywością.

Dziewczynka odrzuciła w tył swe długie włosy, co dozwalało widzieć dobrze jej twarzyczkę na której malowało się żywe wzruszenie. Patrzyła uważnie na swego towarzysza i prawdopodobnie opowiadała mu w jakim celu została przed chwilą wezwana do matki.

Godfred słuchał jej z widocznem zajęciem, a gdy skończyła pochylił się ku niej, i rzekł z czułością biorąc jej rączkę: „Dziękuje ci Joasiu, dziękuję, oddałaś mi, nie domyślając się nawet tego, wielką przysługę, wyzwoliłaś mnie od krzywdzącego posądzenia.

Lady Seaforth nie potrzebowała już słuchać dłużej, wystarczało jej to czego się już dowiedziała; wysunęła się więc ostrożnie z galeryi, mówiąc do siebie półgłosem: — Ha! trzymam cię nakoniec, panie Godfredzie! teraz już mi się nie wywiniesz! Wszakże rzeczywiście odkryła słabą stronę swego wroga; będzie mogła zadowolnić swą zemstę: trzymała w ręku broń którą potrafi zadac mu cios dokliwy.

— Dziś nie mogę tego uczynić, rzekła do siebie; poprzednie wzruszenia odebrały mi siły. Zaczekajmy z tem do jutra!

VIII.

Mowa w czasie uczty.

Nazajutrz, to jest w dniu na który lady Seaforth odłożyła swą zemstę, wypadały właśnie urodziny Godfreda. Słońce już od samego rana świeciło jasno, pogodnie, a wesoły odgłos dzwonów i strzały armatnie zbudziły ze snu mieszkańców zamku. Te dzwony i strzały rozlegały się pierwszy raz dopiero od owego dnia w którym powitały lady Seaforth wjeżdżającą po ślubie do tej wspaniałej Seaforth'ów siedziby. Dzień urodzin przyszłego jej właściciela nie mógł przeminąć nieznacznie, dla tego też postanowiono że w wielkiej sali zamkowej ma być wydana uczta dla dzierżawców i wyższych oficyalistów, przy której lord Seaforth wraz z synowcem będą przyjmować swych gości. Godfred przez cały ten dzień miał jakieś smutne przeczucia, zdawało mu się koniecznie że go spotka coś złego, ale ponieważ przyspasabiał się do mowy którą miał powiedzieć po obiedzie starał się nie zwracać uwagi na to swoje dziwne usposobienie.

Trzeba wiedzieć że za wielką salą służącą dawniej za przedsionek, w której miano zastawić stoły, ciągnął się wązki korytarz, z którego wchodziło się po schodkach do niszy, gdzie było wybite w ścianie okienko dozwalające widzieć wszystko co się działo w sali. Przed laty, w epoce wojen domowych, wspomniane okienko służyło mieszkańcom Seaforthu, do zabezpieczenia się od niespodziewanego napadu; obecnie pozostawiono je tylko dla dogodności osób, które chciały korzystać z wesołego widoku przepełnionej gośćmi sali, bez najmniejszego utrudzenia. Otóż Godfred umówił się z Joasią, że ona wejdzie do tej niszy, gdy przy końcu uczty rozpoczną się mowy, i że tym sposobem będzie mogła go słyszeć nie będąc przez nikogo widzianą. Miała go uwiadomić o swej obecności powiewając przed okienkiem białą chusteczką.

Gdy już umówili się co do tego, Godfred dodał jeszcze żegnając kuzynkę:

— Będziesz mogła widzieć mnie dobrze przez okienko; skoro więc zobaczysz że wychodzę z sali, udaj się do galeryi obrazów gdzie ja także przyjdę.

O godzinie czwartej Godfred wszedł do biesiadnej sali wraz z lordem Seaforth, gdzie zajęli przy stole pierwsze miejsca.

Obiad trwał bardzo długo, nie zmęczyło to je dnak Godfreda, gdyż miał przed oczyma nowy dla siebie widok. Gdy się skończył, biesiadnicy powstali i wyniesiono stoły. Następnie lord Seaforth powiedział krótką mowę którą przyjęto z zapałem.

Teraz przyszła kolej na Godfreda, który jednak wtenczas dopiero zaczął mówić, gdy spostrzegł w okienku białą chusteczkę.

Oczarował od razu słuchaczów swym dźwięcznym głosem, siłą wyrażeń, jasnością wysłowienia, ale gdy przejmując się co raz silniej swym przedmiotem rozwinął skarby swej wymowy, zapał obecnych nie znał już granic.

Wszyscy, nie wyjmując lorda Seaforth, podziwiali ten tak wcześnie rozwijający się talent i słuchali chciwie każdego słowa młodego mówcy.

Godfred wyrażał się z tą przedziwną prostotą wywierającą zawsze tak potężny urok, i mówił tym spokojnym, poważnym i wolnym od wszelkiej przesady tonem, który sprawia zwykle tak silne wrażenie.

Czuć było że zna dokładnie swój przedmiot, i mógłby z łatwością rozwinąć go obszerniej. Wymowa jego była wymową serca, oddaną na usługi żywego i bystrego umysłu; i ubarwioną kwiatami świeżej i świetnej wyobraźni.

Po ukończeniu przemowy, wrócił na swe miejsce tak spokojnie i bez oznaki najlżejszej zarozumiałości jakby nie dał dowodu że posiada wszelkie przymioty prawdziwego mówcy; a, gdy ze wszystkich stron odezwały się grzmiące oklaski, opanowało go żywe wzruszenie i czuł się prawie zawstydzonym tak głośnemi owacyami, gdyż ze wszystkich ust jednocześnie wydarł się okrzyk: Brawo panie Seaforth! Niech żyje pan Seaforth!

Jednak oczy Godfreda błyszczały radośnie, gdy słuchacze z prawdziwą serdecznością ściskali go za ręce, i gdy uczuł gorący uścisk dłoni stryja, który napróżno starał się zapanowac nad swem wzruszeniem.

Co do Godfreda, ten dziwił się że syskał tak wielkie powodzenie, gdyż mowa jego zdawała mu się bardzo mierną, w porównaniu z tą jaką chciał powiedzieć. Nie mógł zrozumieć jakim sposobem słowa wypływające z ust jego z taką łatwością, mogły sprawić tak silne wrażenie.

Skoro tylko zdołał oddalić się nieznacznie, udał się do galeryi, gdzie Joasia już na niego oczekiwała, i skoro go tylko spostrzegła, przybiegła do niego wołając:

— A! Godfredzie! jak to było pięknie! jakże byłam szczęśliwą! jak dumną z ciebie!

— Czy dobrze słyszałaś? zapytał z uśmiechem.

— O! wybornie! nie straciłam jednego słowa. A jakie huczne zbierałeś oklaski!

— Ale tak prędko wyszłaś z niszy, rzekł Godfred. Cóż cię do tego skłoniło?

— O! sprawiło mi to prawdziwą przykrość, bo tak mnie to wszystko zajmowało, tak się cieszyłam że wzbudziłeś tak ogólny zapał, ale w tej chwili właśnie gdy wszyscy cisnęli się do ciebie aby uścisnąć twą rękę, zobaczyłam nagle stojącą przy mnie mamę! tak mamę!

— Jakto! lady Seaforth tam weszła? zawołał zatrwożony Godfred

— Tak, ale powiedz mi, co po tem nastąpiło.

Joasia mówiąc to wpatrywała się w kuzyna z wyrazem żywej ciekawości, i Godfred miał już spełnić jej życzenie, gdy w korytarzu odezwały się szybkie kroki, otworzono drzwi z hałasem, i lady Seaforth weszła do galeryi z Kolinem i Andrzejem.

IX.

Scena w galeryi.

Łatwo się domyślić jakie uczucia gniewu i nienawiści wstrząsały sercem lady Seaforth gdy była świadkiem tryumfu Godfreda.

Czy nie widziała jak wszyscy spieszyli skwapliwie uścisnąć rękę jej wroga? Czy nie słyszała tych szalonych oklasków, wśród których rozlegało się nienawistne jej nazwisko Godfreda? Tak, synowiec męża chciał zająć to właśnie stanowisko które ona pragnęła pozyskać dla Kolina, a prócz tego oburzała ją do najwyższego stopnia radość jej męża i tkliwe uczucia malujące się na jego twarzy zwykle tak zimnej i poważnej. Czuła się więc dotkniętą jednocześnie jako żona i matka, i te wszystkie oklaski na cześć młodego mówcy raniły boleśnie jej serce.

Joasia cofnęła się o kilka kroków spostrzegłszy tak niespodziewanie matkę, a następnie zbliżyła się do Godfreda jakby żądała od niego pomocy i opieki.

— Przekonałeś się teraz Kolinie że miałam słuszność, rzekła lady Helena zwracając się do syna, którego twarz zwykle wesoła, zachmurzyła się nagle. Tak, mówiła dalej, domyślałam się tego, ale nie chciałeś mi uwierzyć. Joanno, rzekła zwracając się do drżącej dziewczynki, co tu robisz? Po co przyszłaś do galeryi o tej porze? Wróć w tej chwili do swej nauczycielki!

Joasia zwróciła się natychmiast ku drzwiom. Według niej to nagłe i przykre spotkanie było tylko dziełem przypadku, i sądziła że nazajutrz będzie mogła spotkać się z kuzynem w temże samem miejscu. Ale Godfred, który już od pewnego czasu poznał nieprzyjazne dla siebie usposobienie stryjenki, czuł lepiej doniosłość tego wypadku. Zresztą tak cała postawa jak wyraz twarzy lady Seaforth kazały mu się domyślać że to nie traf sprowadził ją do galeryi, i że cała ta scena była naprzód obmyśloną. Czuł więc że potrzebuje jakoś załagodzić tę sprawę jeżli chce jeszcze zobaczyć się z kuzynką.

— Milady, rzekł, za kilka dni oddalam się z Seaforth, i prawdopodobnie wrócę tu dopiero za kilka miesięcy; czy wolno mi będzie przynajmniej pożegnać kuzynkę?

Kolin chciał widocznie coś odpowiedzieć, ale zmienił zamiar i wyszedł spiesznie

— Możesz pożegnać ją zaraz, odpowiedziała zimno lady Seaforth.

— Wróć się Joanno, zawołała; Godfred chce pożegnać się z tobą. Wyjeżdża wkrótce do uniwersytetu i nie zobaczysz go już więcej. Nie pozwalam ci także wchodzić do tej galeryi; czy słyszysz? nie wolno ci tu wchodzić.

Joasia powróciła, lecz ani rozpacz malująca się na jej twarzyczce, ani błagalnie złożone rączki nie wzruszały tej nieubłaganej kobiety. Biedna Joasia spojrzała w koło siebie z takim wyrazem jak spogląda jeleń obsaczony ze wszystkich stron, i szukający sposobu uchronienia się od grożącego mu losu.

Wielkie jej oczy spoczęły najprzód na zimnej i nieruchomej twarzy matki, następnie zwróciła je na Andrzeja, który odwrócił głowę usiłując ukryć wzruszenie, a następnie zatrzymały się na Godfredzie śledzącym z głębokiem współczuciem wszystkie ruchy dziewczynki.

W pierwszej chwili Godfred miał zamiar rozpocząć otwartą wojnę ze swą nieubłaganą nieprzyjaciółką, ale powstrzymał się spostrzegłszy jak groźne spojrzenie zwróciła na Joasię.

Rzeczywiście nie mógł się pomylić co do prawdziwych uczuć lady Seaforth, wszakże jego własny ojciec tak samo niegdyś spoglądał na niego, rozumiał więc dobrze co oznaczało takie spojrzenie. Myśląc przedewszystkiem o Joasi, zastanowił się nad tem, że najlżejszy opór mógłby sprowadzić za sobą zgubne dla niej następstwa, i że jedynym środkiem ocalenia dla biednej dziewczynki, było uległe zastosowanie się do woli matki.

Joasia odpokutowałaby z pewnością później za najlżejszy opór z jego strony, a na nieszczęście jego nie będzie już przy niej, i nie mógłby otoczyć ją swą opieką Dla tego to gdy zwróciła na kuzyna błagające spojrzenie, wyczytała w jego oczach że powinna być posłuszną.

Biedna Joasia wpatrywała się długo w Godfreda, i to wróciło jej siłę i odwagę. Ulegając temu urokowi jaki wywierał na nią zawsze, zbliżyła się do niego i rzekła stłumionym i drżącym głosem: „Bądź zdrów, Godfredzie! Żegnam cię!”

Godfred pochylił się do dziewczynki poważnie, uścisnął drżące jej rączki i rzekł wzruszonym, prawie uroczystym głosem: Niech cię Bóg błogosławi i czuwa nad tobą Joasiu! Bądź zdrowa!

Pozostali tak kilka chwil, patrząc na siebie z czułością.

— Teraz możesz już odejść, rzekła lady Seaforth.

Joasia uścisnęła raz jeszcze rękę kuzyna i odeszła, a Godfred spoglądał za nią z wyrazem współczucia i smutku.

Tak więc to miejsce w którem spotkali się po raz pierwszy, było także świadkiem ich rozłączenia, a szlachetny hrabia Seaforth zdawał się spoglądać na nich z żywem współczuciem, z głębi swych pięknych ram złoconych.

Joasia odwróciła się raz jeszcze stojąc już przy drzwiach i zwróciła na przyjaciela ostatnie spojrzenie; słaby uśmiech ukazał się na jej ustach, jakby mu przez to chciała dać poznać że może być o nią spokojny.

Milczący i na pozór spokojny, Godfred patrzył na nią z wyrazem tkliwego politowania, widząc że nie chcąc go martwić, usiłuje iść pewnym krokiem, z podniesioną głową. Tak, ta słaba i wątła istota posiadała w sobie jakąś iskierkę tego ognia który niegdyś ożywiał męczenników, i jakkolwiek serce jej zostało ciężko zranione, starała się ukryć swą boleść przed przyjacielem.

Godfred widział kilka razy zwracającą się ku niemu twarzyczkę Joasi, i dopiero gdy doszła do końca galeryi, zwrócił się także ku drugim drzwiom, a stanąwszy już na progu zatrzymał się jakby chciał zmierzyć wzrokiem dzielącą ich odległość. Joasia stała także nieruchoma przy otwartych drzwiach dębowych.

Była to także chwila bardzo bolesna i na zawsze pamiętna dla nieszczęśliwej dziewczynki. Myśl że cierpi z powodu Godfreda, podtrzymywała jej odwagę, i dopóki tylko mogła dostrzedz go jeszcze, pozostała niewzruszoną, prawie spokojną, myśląc tylko o tem aby nie zasmucać tego który jej okazał tyle współczucia i przywiązania.

Odwaga wtedy dopiero opuściła Joasię, gdy ciężkie drzwi zamknęły się za Godfredem; zdawało jej się wtenczas że znikła jedyna gwiazda przyświecająca jej życiu, i że znów otoczą ją ciemności w których była pogrążoną już od kolebki.

X.

Godfred w uniwersytecie.

W kilka dni później, w październiku, Godfred wyjechał do Cambrigde.

Większa część czytelników naszych wie z doświadczenia lub ze słyszenia, jak uroczystą dla młodego człowieka jest ta chwila w której opuszcza dom rodzicielski i udaje się do uniwersytetu. Nie raz ludzie w dojrzałym już wieku, wspominają tę epokę jako najmilszą i najweselszą w swem życiu, i której wspomnienie nie zatrze się nigdy w ich pamięci.

Jakże rozkoszną jest ta chwila przejścia z dziecinnych lat do młodości. Jakże miło, siedząc przed kominkiem w wygodnym fotelu, czuć się niezależnym, czuć się mężczyzną.

Wrażenia większej części studentów nie przechodzą po za te ciasne granice, ale młody człowiek zamiłowany w nauce i obdarzony wyższemi zdolnościami, doznawać będzie wznioślejszych rozkoszy. W tej świątyni nauk, wśród tych chwalebnych wspomnień przeszłości, myśl jego będzie zwracać się z uszanowaniem do tych wielkich ludzi którzy go tam poprzedzili, a których śladem i on pójść powinien.

Rzeczywiście, każdy student powinienby poczuwać się do obowiązku prowadzenia dalej dzieła rozpoczętego przez jego poprzedników, przewyższając ich nawet jeżli to być może, i korzystając z otwartej przed nim sposobności, okryć się chwałą i wyrobić sobie zaszczytne w świecie stanowisko.

Godfred zostawał właśnie pod wpływem podobnych uczuć, gdy znalazł się po raz pierwszy wśród murów uniwersytetu. Do miłego wrażenia jakie mu sprawiała niezależność, dołączała się jeszcze niewysłowiona dla niego radość, że był wolnym od przymusu i towarzystwa niemiłych mu osób.

W tem spokojnem schronieniu był zabezpieczonym od zgubnych wpływów świata, a co więcej mógł poświęcić się zupełnie naukom i pracy.

Szukał jedynie towarzystwa ludzi uczonych i znakomitych. Słyszał ich wygłaszających i roztrząsających najróżnorodniejsze opinie, wydających najrozmaitsze zdania o rzeczach i ludziach. To ciągłe obcowanie z ludźmi obdarzonymi wyższym umysłem, było dla niego źródłem co raz nowej przyjemności, i z rozkoszą zatapiał się w tym, jak go słusznie nazwał pewien znakomity pisarz „Oceanie wiedzy.”

Zaraz od początku zwrócił na siebie uwagę tak rzadkiemi swemi zdolnościami jak pracowitością, a prócz tego, zarówno profesorowie jak koledzy zapowiadali mu najświetniejszą przyszłość jako mówcy, potwierdzając tym sposobem zdanie lorda Seaforth.

Godfred przyjeżdżał do zamku na każde wakacye, ale nie dozwolono mu nigdy pomówić dłużej z Joasią. Zaledwie spotkał ją niekiedy przypadkiem i mógł rozmawiać z nią przez kilka minut; o dawnych poufnych zwierzeniach nie mogli nawet pomyśléć. Joasia zostawała pod ścisłym dozorem bony i nauczycielki, które spełniały ślepo rozkazy matki. Godfred nie próbował nawet przełamywać tego zakazu, z obawy aby z większą jeszcze surowością nie strzeżono dziewczęcia.

Tak więc musieli poprzestawać na przypadkowych spotkaniach, co nie przeszkadzało iż oboje żywili w sercach pocieszające nadzieje na przyszłość, a nadto Godfred wytworzył sobie nader chlubne pojęcie o charakterze i umysłowych zdolnościach kuzynki.

Joanna nie była już dzieckiem, to życie ustronne całkiem oddane nauce i rozmyślaniu, przyczyniło się bardzo do wyrobienia jej umysłowego rozwoju, i dla tego dojrzałością rozumu i wytrawnością sądu, przewyższała nieskończenie inne dziewczęta w jej wieku.

Godfred pocieszał się błogą nadzieją iż zostawszy panem swego losu i majątku, będzie mógł otoczyć Joannę tkliwem przywiązaniem i opieką i świetnie los jej ustalić. Lord Seaforth był co raz więcej zadowolnionym ze swego synowca, któremu ogólnie największe oddawano pochwały i świetną rokowano przyszłość. Duma i radość zawładnęły sercem lorda; w umyśle powstawały najambitniejsze rojenia, marzył dla spadkobiercy swego zawód Scheridan'a, Pitt'a, pierwszego ministra i Bóg wie co jeszcze.

Z nadejściem przyszłych wyborów, Godfred miał skończyć lat dwadzieścia dwa; ale nie czekając nawet jego pełnoletności, lord Seaforth kupił mu dom w Londynie, tuż obok Westminster, i wyznaczył 2000 f. szt. rocznego dochodu. Miał zamiar przenieść się do stolicy, aby tam zamieszkać obok przybranego syna, i w duszy cieszył się myslą, iż nadejdzie dzień gdy siedząc w Izbie lordów, słuchać będzie mów Godfreda i napawać się oddawanemi mu ze wszech stron pochwałami. Za rok, za jeden rok tylko! Godfred ukończy uniwersytet, kandydatura jego stawioną będzie w hrabstwie, w następstwie czego wejdzie do Izby gmin; był to pierwszy szczebel do szczytu sławy, u którego miał stanąć niezadługo.

Oto rojenia jakie budziła w umyśle lorda Seaforth jego poniekąd zupełnie usprawiedliwiona duma.

XI.

Horyzont się zasępia.

W tym mniej więcej czasie, wielka zaszła zmiana w usposobieniu i nawyknieniach Godfreda. Stał się zamyślonym, nawet zakłopotanym; nie wyglądał teraz na pilnego studenta uniwersytetu zatopionego w książkach, ale na człowieka przygnębionego ciężkim jakimś kłopotem lub nader dręczącemi myślami. Nawet tak ulubione mu czytanie, nie zdołało teraz rozproszyć posępnych jego myśli.

Całe godziny przesiadywał w kącie pokoju, z otwartą książką w ręku, nie przewracając kartek; często nie spostrzegł nawet że książka upadła na ziemię, i błędne w około rzucał spojrzenia.

To usposobienie jego, niewysłowionym niepokojem przejmowało lorda Seaforth, który zwiększało jeszcze uparte milczenie Godfreda. Tak gorąco pragnął pozyskać zaufanie synowca, a pomimo najusilniejszych starań z jego strony, nie mógł dowiedzieć się od niego co było powodem tej zmiany usposobienia, co za troska dręczyła go tajemnie. Minęły wakacye a przykry ten stosunek żadnej nie uległ zmianie; stryj pożegnał Godfreda bynajmniej nie uspokojony.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 48.

(Dokończenie.)

Przody vêtement przez kilkakrotne przemarszczenie podpięte są z boków i złączone z bokami i plecami, podpiętemi również w bufę u dołu: jak to widzimy na ryc. 50 do 51. Szarfa z wstążki morowej 11 cent. szerokiej; guziki jak na ryc. 33.

N. 53—63. Pasmanterye i frendzle szmuklerskie.

Podpisy pod rycinami dają objaśnienie szczegółowe.

Opis do N-ru 49.

N. 1—3 oraz ryc. 5 i 25—26. Ubrania wieczorowe.

N. 1 i 26. Suknia z draperyą tunikową fałdowaną.

Ryc. 1 przedstawia suknię odrobioną z blado-niebieskiego surah i kremowego deseniowego adamaszku; spódnica oszyta u dołu falbankami układanemi w kontrafałdy i przemarszczaniem. Suta draperya z przodu układa się u dołu z dwóch prostych brycików, z których gładki ma 24, deseniowy 55 cent. szerokości. Na górną tunikową część draperyi, potrzeba trzech ze sobą zeszytych brycików, mających 52 cent. szerokości a 68 długości, które u dołu przyszywają się na spódnicy sposobem odwracanym i spuszczają podwójnie 8 cent. długo, a w górze z przodu do 20, z boków do 18 cent. długości, układają w drobne fałdy i wszywają w pasek wraz ze spódnicą. Tylną draperyę układa się sposobem na ryc. 26 wskazanym, z bryta adamaszku mającego 100 cent. długości a 114 szerokości, krótko w bufy podpiętego, pod którym przypina się tren oddzielny; ułożony na podszewce ze sztywnego muślinu, z brzegów ogarnirowany falbaną i balejezą podszyty. Stanik wycięty, bluzkowy, marszczony, układa się na gładkiej podszewce. Pasek medicis podłużnie fałdowany, Berta z jedwabnego tiulu.

N. 2 i ryc. 5 i 25 w N. 50. Suknia z vêtement à panier.

Strojna suknia z czarnego satin soleil, na modelu ubrana była aksamitem broszowanym i 9 c. szeroką czarną hiszpańską koronką, suto dżetem wyszytemi. Spódnica z długim trenem, oszyta była 8 cent. szeroką, w kontrafałdy ułożoną falbanką i wolantem aksamitnym, 16 cent. szerokim. Przód i boki spódnicy, o ile są z pod vêtement widoczne, pokrywa garnirunek w fałdy 1 cent. szerokie, od góry zaszyte, od dołu na 28 cent. długości luźno puszczone. Z pomocą małego modelu, podanego w N. 50 na r. 25, na którym miary długości i szerokości i miejsca fałd są oznaczone, można vêtement z łatwością dopasować podług formy dobrze leżącego stanika. Do przodów stanika (a), ozdobionych aksamitnem kamizelkowem wyłożeniem, przyszywa się draperyę *b*, z przodu à panier podpiętą, z boków sfałdowaną do 28 cent. długości i z boczkami *c* piękną agrafą szmuklerską złączoną. Do plecków *d* przyszywa się pod kokardą ze wstążki morowej, sfałdowane tylne brzegi boczków i bryt tylny *e*, w górze i przy szwie środkowym podług krzyżyków sfałdowany, a dalej luźno spuszczony. Kołnierz i mankiety aksamitne garnirowane koronką.

N. 3. Suknia z vêtement przemarszczanem.

Przemarszczany stanik robi się na gładkiej, ściśle do figury dopasowanej podszewce. Szeroko od dołu rozchodzące się, w górze na sposób panier przemarszczone przody vêtement, podchodzą z boków pod prosty bryt tylny, pod szeroką kokardą w krótki puf podpięty. Spódnica w koło oszyta jest plisowaną falbaną, prawie połowę jej długości zajmującą, nad którą górna część przodu przemarszczana jest w bufki. Krótkie bufowane rękawki, dopełnione są długiemi rękawiczkami „Mousquetaire". Ubranie takie przeznaczone dla młodych panienek, zrobione być może z kaszmiru i surah, lub innych cienkich wełnianych materyałów, w jasnych i ciemniejszych kolorach. Gruby sznur jedwabny przerabiany nitką złotą, jest w stanie bawetowo przewiązany.

N. 4—5. Woalik szydełkowy robiony z włóczki jedwabnej.

Woalik zaokrąglony u dołu, mający oprócz koronki 72 cent. długości, 28 środkowej a 20 cent. brzeżnej szerokości, robi się na szydełku drewnianem, wzdłuż tam i napowrót, ciągle jeden rząd oczkami ścisłemi, drugi ściegiem deseniowym, podanym w naturalnej wielkości na próbce ryc. 5, w którym dwie pierwsze pentelki biorą się jak zwykle, a dwie następne zajmują nie w jedno lecz zawsze razem w dwa oczy poprzedzającego rzędu, przyczem jak to strzałka i punkcik wskazuje na ryc. 5, bierze się razem jeszcze raz w oko poprzedzające. Robotę zaczyna się od dolnego zaokrąglonego brzegu na oczek 40, w następnych czterech obrobieniach deseniowych i czterech ścisłych, przybiera się na końcu każdego po oczek 12, w piątym deseniowym i następnym ścisłym po oczek 20, dalej aż do końca robić bez przybierania, tylko przy ostatnim rzędzie deseniowym obrobić boki i dół woalika, a górę zakończyć oczkami ścisłemi, włóczką podwójną. Brzeg dolny obrobić koronką szydełkową, taką jak przy próbce lub inną.



N. 1. Suknia wieczorowa z draperyą fałdowaną. Patrz ryc. 26 w N-rze 50.

N. 2. Suknia wizytowa z vêtement à panier. Patrz ryc. 5 i 25 w N-rze 50.

N. 3. Suknia z vêtement przemarszczanem.

N. 6—8. Spódniczka dziecinna ze stanikiem. Robota szydełkowa.

Spódniczka robiona była z białej angorowej włóczki, a szlak z włóczki crevel niebieskiej w trzech cieniach. Stanik robi się wzdłuż tam i napowrót słupkami zwyczajnemi, zajmanemi w spodnią stronę oczek poprzedzającego rzędu, zacząwszy od lewej strony plecek, pasując rzędy podług formy z papieru, dla rozszerzenia baskiny wrabia się kliniczki widoczne na ryc. 8. Drugą połowę stanika od środka przodu, robi się podług pierwszej w odwrotnym porządku, dodając przy pleckach dziurki do guzików. Szlaczek do wykroju pach i stanika, przewleczony wstążeczką, dajemy w naturalnej wielkości na ryc. 7. Spódniczkę przyrabia się odrazu do dolnego obrobienia stanika, dając ciągle w pierwszem obrobieniu 1 oczko ścisłe, 2 słupki pojedyńcze, 1 słupek podwójny, 2 słupki pojedyńcze, 1 oczko ścisłe. Dalsze rzędy robią się ciągle oczkami ścisłemi, dając w pierwszem obrobieniu 3 oczka w słupek podwójny, a w następnych 3 oczka w oczka środkowe każdego ząbka. Szlaczek do spódniczki z 3-ma obrobieniami niebieskiemi do cieniu, dajemy na ryc. 6.

N. 9—10. Kaftanik szydełkowy dziecinny.

Tło i szlaczek robi się jednakowym ściegiem, podług próbki ryc. 10, tylko w tym ostatnim dodaje się obrobienia odmiennym kolorem. Kaftanik zaczyna się od dołu luźnym sznureczkiem łańcuszkowym odpowiedniej długości, w pierwszem obrobieniu 1 oczko ścisłe w pierwsze oczko łańcuszkowe, 3 ocz. opuścić w dwa następne słupki 1 ocz. ścis., co powtarzać ciągle przez całą szerokość kaftanika tam i napowrót; od wykroju pachy przody i plecy robią się oddzielnie. Na modelu w przodkach deseń powtarzał się 10 razy, w pleckach 23; wykrój pachy liczy 11—12 obrobień, poczem ramiona spaja się na długość 5—6 rzucików deseniu. Rękawy przyrabia się do wykroju pachy, dając rzędy tam i napowrót, szerokość wynosi 12 rzucików, długość 19, poczem przyrabia się szlaczek, któren i u dołu kaftaniczka dodaje sią na końcu, zarówno jak po brzegach przodu i przy wykroju szyi.

N. 11—12. Szydełkowy kapturek dla dziecka. Ścieg tunetański.

Kapturek z włóczki angielskiej białej i niebieskiej zaczyna się szydełkiem drewnianem na oczek 62, od dołu karczka, robiąc naprzemian tam i napowrót jeden rząd biały drugi niebieski, gubiąc na końcu i na początku każdego łańcuszkowego przerobienia czwarte oczko od brzegów i dwa razy w środku w rzędzie czwartym i piątym. Gubienie zaczyna się w drugim rzędzie a przestaje w dziesiątym, ostatnie gładkie obrobienie liczy oczek 42. Główkę w paski białe i niebieskie zaczyna się oddzielnie na oczek 18 i obrabia tam i napowrót razy 16. Czółko robi się z włóczki białej podług miary główki, bez gubienia i przybierania, na 12 rzędów szerokości, poczem brzeg tylny spaja się z główką, a boczne z karczkiem. Dla rozszerzenia okrągławo czółka z przodu, obrabia się raz tam i napowrot włóczką niebieską przez całą długość, raz w środku przez oczek 14, raz przez 6 i raz znów przez całą długość. Wyłożenie z przodu i szlaczek przy karczku robi się ściegiem podanym na próbce ryc. 12, naprzemian włóczką białą i niebieską.

N. 13—15. Kapturek dziecinny. Ścieg tunetański i robota w ramach.

Kapturek z trzech kwaterek złożony, robi się ściegiem tunetańskim, podług formy wyciętej z papieru, części przednie ściegiem gładkim a środkową podług próbki ryc. 14. Do przyozdobienia kapturka i na wyłożenie z przodu, służy robota wiązana w ramach, której próbkę dajemy na ryc. 15.

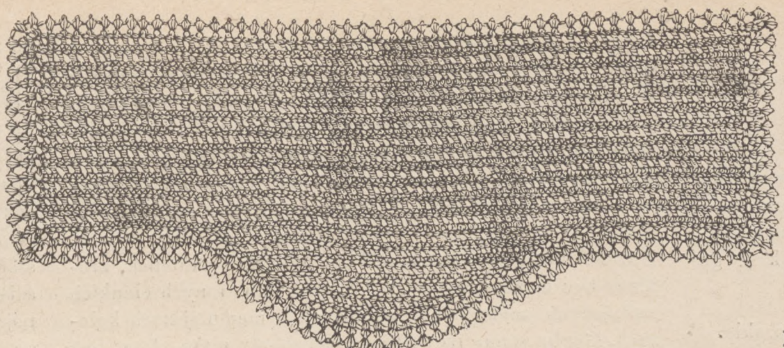
N. 16—17. Fartuszek bluzkowy ozdobiony wyszyciem kolorowem.

Fartuszek robi się z bryta prostego, mającego 58 cent. długości a 96 szerokosci, zakończonego u dołu obrębem 3—4 cent. szerokim. W odstępie 24 cent. od środka bry-

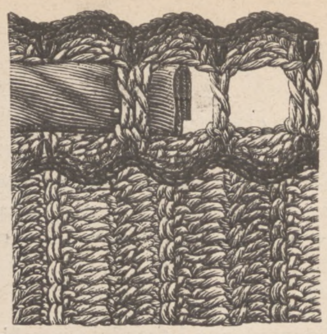
ta, wykrawa się 17 cent. długie otwory pachy, a na ramiączka zeszywa się cokolwiek skośnie przód z pleckami 4—5 c. długo. W pasie i przy wykroju górnym podszyć listewkę do nawleczenia i ściągania fartuszka. Model zrobiony z białego muślinu, zdobił szlaczek wyszyty podług ryc. 17, kordonkiem ponsowym z podłożeniem szyrtyngu. Po wykończeniu roboty łańcuszkowej wycina się szyrtyng, a ściegi długie wyszywa się na samym muślinie.



N. 6. Szlak szydełkowy do ryc. 8.



N. 4. Woalik szydełkowy. Patrz ryc. 5.

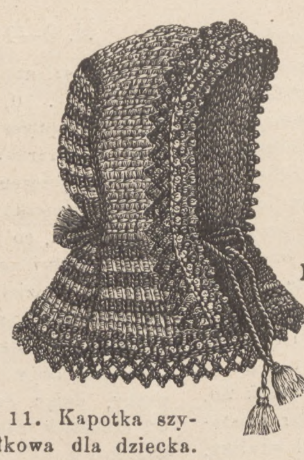


N. 7. Obrobienie górne do stanika ryc. 8.

niu i nitką złotą przeszywaną cieniutkim jedwabiem. Sposób roboty wskazujemy na probce naturalnej wielkości r. 34. Lambrekina składa się z dwóch u dołu zaokrąglonych, w końcach wązkich kawałków, w środku koszyczka schodzących się ze sobą. Brzeg dolny zdobi haft ażurowy, robiony w maszynie na czarnym szyrtyngu, włóczką crevel jasno-bronzową ścieg atłaskowy i pręciki, a oliwkową do cieniu ścieg supełkowy. Woreczek ściągany z atłasu bordo, sznury i kwasty jedwabne w kolorach atłasu i haftu.

N 18. Kamasze włóczkowe.

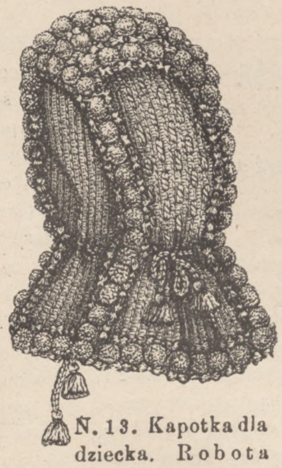
Kamasze robione na drutach wzdłuż, tam i napowrót gładko, przybierając i gubiąc podług formy pończochy, a następnie brzegi podłużne spoić igłą lub szydełkiem z lewej strony, a brzeg górny i dolny obrobić ząbkami szydełkowemi.



N. 11. Kapotka szydełkowa dla dziecka. Patrz ryc. 12.



N. 9. Kaftaniczek szydełkowy. Patrz ryc. 10.



N. 13. Kapotka dla dziecka. Robota szydełkowa na r. 14, szlak robiony w ramach podług ryc. 15.

N. 36—37 i ryc. 27 w N rze 50. Czepeczek strojny koronkowy.

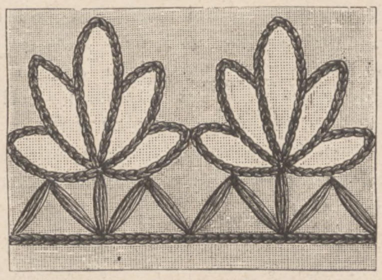
Czepeczek z 10 cent. szerokiej koronki hiszpańskiej, wyszywanej koronkami, układa się na foremce ze sztywnego tiulu, którą podajemy w zmniejszeniu na ryc. 27 w N. 50. Pierwszy rząd koronki naszywa się na czółku gładko, następnie suto sfałdowaną; środek zapełnia rozeta z frendzli sznelowej z perełkowemi sznureczkami. Wstążki w atłasie 6 cent. szerokie a 65 długie, związane są z tyłu.



N. 16. Fartuszek bluzkowy z wyszyciem. Patrz ryc. 17.

N. 19—20. Podeszwa szydełkowa.

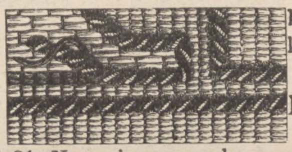
Podeszwa robiona z włóczki białej, ściegiem wskazanym na r. 20, do wkładania dla ciepła w buciki.



N. 17. Wyszycie do fartuszka ryc. 16.

N. 21—22. Szlak do wałków pod głowę, koszy na papiery i t. p.

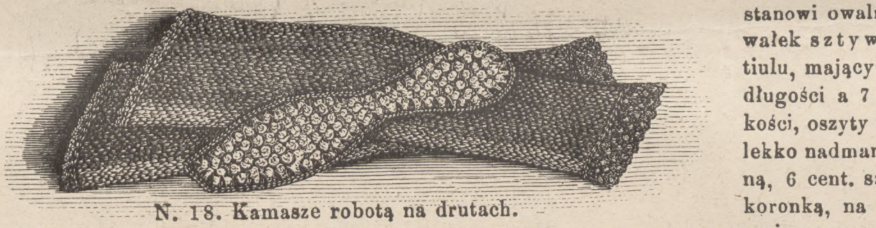
Do wyszycia na materyale gobelinowym, sznureczkiem sznelowym okręcanym nitką złotą i filozelą kolorową. Próbka ryc. 22 podaje naturalną grubość sznureczka. Zmniejszony deseń ryc. 21, miał na modelu $10\frac{1}{2}$ cent. szeroki. Do wyszycia konturów na tle niebieskiem, użyty był sznureczek jasno i ciemno-ponsowy, a rzucik i szlaczki robione filozelą oliwkową i różową w dwóch cieniach.



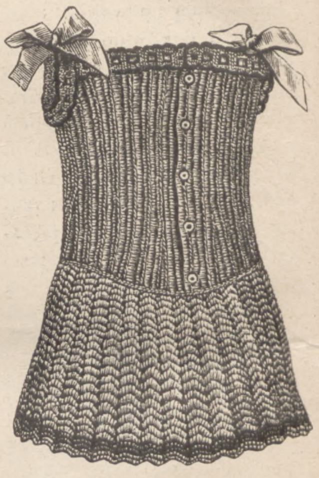
N. 21. Naszycie sznureczka do szlaku ryc. 22.

N. 38—39. Czepeczek z rozetek frendzelkowych i koronki.

Formę czepeczka stanowi owalny kawałek sztywnego tiulu, mający 10 c. długości a 7 szerokości, oszyty w koło lekko nadmarszczoną, 6 cent. szeroką koronką, na której umieszczone są trzy rozetki z 3 cent. szerokiej złotej frendzelki ozdobionej perełkami, przedzielane liściami z perełkowej pasmanteryi. Każdą rozetę układa się oddzielnie na kółku z 6 c. długiego kawałka agremanu. Na dwie strony zeszyta koronka, stanowi barbkę 42 cent. długą, której zaokrąglony koniec przypina się agrafką z perełek dżetowych do przodu, drugi luźno w tył spuszczony, zdobi druga agrafka w kształcie liścia.



N. 18. Kamasze robotą na drutach.
N. 19. Podeszwa szydełkowa patrz ryc. 20.



N. 8. Sukieneczka ciepła włóczkowa. Patrz ryc. 6—7.

N. 23—29. Bórty i szlaki wyszywane na tiulu perełkami i sznelą, do sukien, chusteczek i t. p.

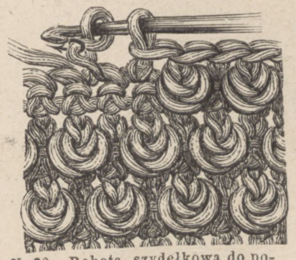
Ponieważ wszelkie tego rodzaju roboty płacić trzeba bardzo drogo, podajemy więc próbki, podług których wykonać je można własnoręcznie. Na tło dobrać tiul niezbyt gęsty lecz mocny, czarny lub biały; do naszywania perełek zawsze używa się nici, bo jedwab ostre brzegi perełek łatwiej przecinają. Stosownie do gustu i celu perełki mogą być czarne, białe, metalowe lub szmelcowane w rozmaitych kolorach; do wyszywania i na frendzlę bierze się sznelę cienką jaką podajemy na ryc. 23 i 24. Można także zdobić perełkami gotowa fabryczną koronkę, jak na ryc. 25, do której można także dodać frendzelkę z perełek w formie owsa. Do całkiem zaszytych a następnie wyciętych deseni, dodaje się na tiul gęstą gazę; brzegi oszywa się ściegiem łańcuszkowym, a następnie wycina podług r. 28.



N. 14. Robota szydełkowego tła kapotki ryc. 13.



N. 15. Szlak do kapotki ryc. 13.



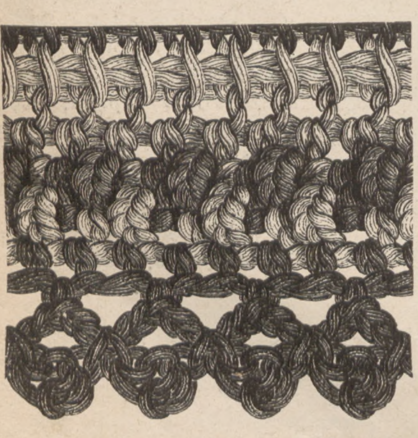
N. 20 Robota szydełkowa do podeszwy ryc. 19.

N. 40. Mufka z atłasu i koronki.

Mufka robiona była z kawałka czarnego atłasu, mającego 46 c. wysokości a 80 szerokości, podsz tego zielonym, złot m przerabianym repsem, którен w odstępie 6 ceut. od brzegów jest przemarszczany do szerokości dozwalającej luźno wsunąć ręce. Podszewkę i atłas zmienia się stosownie do koloru kostiumu. Koronkę hiszpańską 12 c. szeroką, zmarszczoną, wszywa się od środka w ten sposób, żeby na 7 cent. wystawała za brzegi rękawka. Dwa pióra 17 c. długie, przypina się na wierzchu agrafką dżetową; wstążki atłasowe do zawieszenia są $2\frac{1}{2}$ c. szerokie.



N. 22. Szlak do wałków, koszyków i t. p. Patrz ryc. 21.



N. 12. Szlak szydełkowy do kapotki ryc. 11.

N. 32—34. Koszyczek do robót z lambrekiną naszywaną.

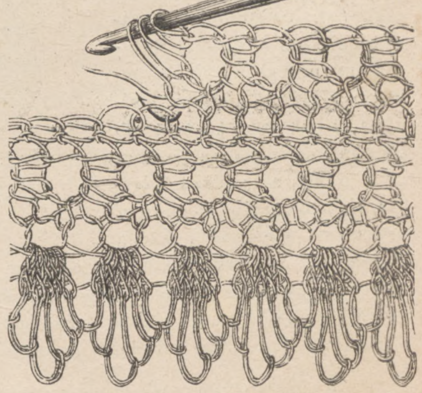
Koszyczek pleciony z bronzowo lakierowanej brzeziny, zdobi lambrekina wyszywana na czarnym w deseń wytłaczanym aksamicie, dwunitkową filozelą, oliwkową, różową, niebieską do cie-



N. 10. Tło szydełkowe do ryc. 9.

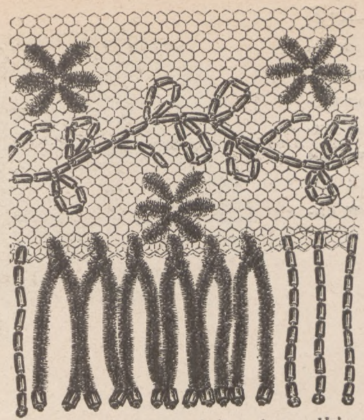
N. 41—45 i ryc. 35. Poduszka do kanapy. Haft na płótnie ściegiem krzyżowym plecionym.

Model poduszki mającej 62 cent. długości a 46 szerokości, robiony

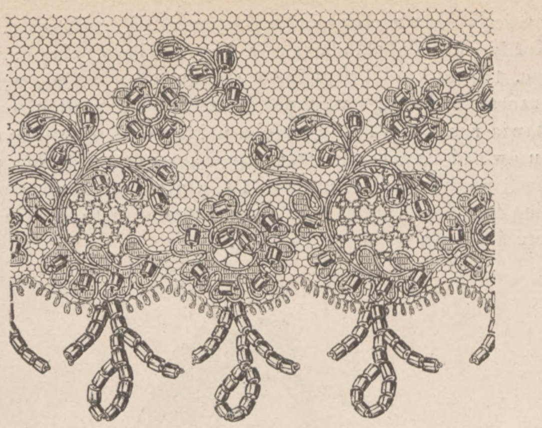


N. 5. Tło i szlak szydełkowy do woalka ryc. 4.

był na niezbyt cienkiem ani gęstem płónie, jedwabiem francuzkim ponsowym, ściegiem plecionym, którego próbki znacznie powiększone i dokładnie wskazujące następstwo i układ ściegów, dajemy na ryc. 42 do 44; zmudna to i dość trudna robota ale piękna gdy dokładnie wykonana; każdy deseń do haftu krzyżykowego nadaje się do niej. Na r. 35 dajemy część deseniu w naturalnej wielkości, któren na jeden kwadrat musi być cztery razy zestawiony. Układ i ilość kwadratów wskazana jest na r. 41. Ryc. 45 przedstawia szlaczek, na którym po wykończeniu roboty plecionej dana jest z wierzchu krata robiona nitką złotą, o wiele podnosząca piękność roboty. Sute kwasty kuleczkowe zdobią rogi poduszki.



N. 23. Szlak z perełek i sznelki z frendzelką. Do sukien, chusteczek i t. p.



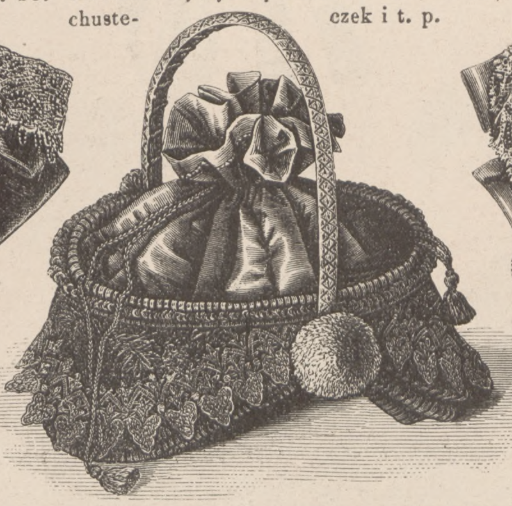
N. 25. Koronka wyszyta perełkami. Do sukien, chusteczek i t. p.



N. 24. Szlak wyszyty sznelką i perełkami do sukien i t. p.



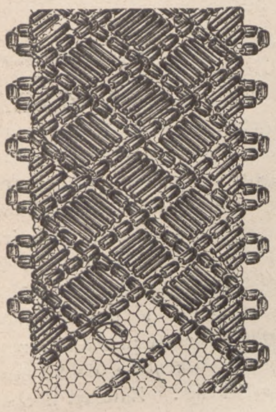
N. 30. Zabot aksamitny z koronką.



N. 32. Koszyczek do robót. Patrz ryc. 33—34.



N. 31. Żabot atłasowy z koronką.



N. 26. Torsadka z perełek.

Opis do N-ru 50.

N. 1. Berecik dla chłopczyka.

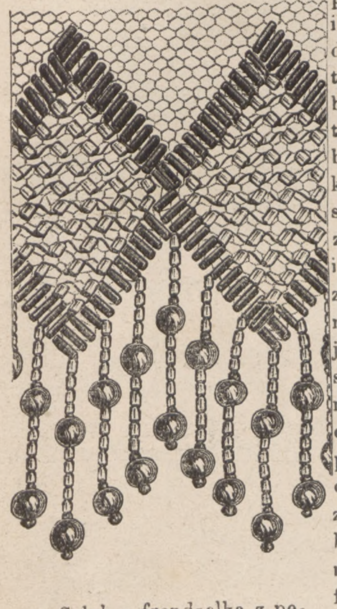
Berecik taki robi się z tego samego materyału co paletocik i może być zarówno aksamitny jak sukienny.

N. 2. Kapelusik dla dziewczynki.

Fasonik z żółtawego filcu ma rondko podszyte marszczonym atłasem; główkę opasuje podwójnie gruby sznur z kwastami; kokarda z wstążki atłasowej 8 cent. szerokiej.

N. 3. Kapotka i okrągły kołnierz z piórek.

Obłożenia z piór bardzo są modne do okryć i sukien zimowych; kapelusze, kołnierze i mufki robią również z piórek, odpowiednich do przybrania sukni. Zamiast przyszywania piórek które jest bardzo żmudne, można je naklejać za pomocą gęstego kleju, przeprowadzając końce na lewą stronę foremki. Model który opisujemy był z piórek kurzych czarno farbowanych, ale piórka można wybrać podług gustu, im bardziej będą puszyste, tym podobniejsze do futra. Do przybrania takiego kapelusza, dostateczna rozeta z piórek i końce do wiązania. Kołnierz okrągły jest 14 cent. szeroki a 104 ma obwodu; długie wązkie piórka łabędzie stanowią zakończenie brzeżne, które można zastąpić frendzlą z perełek.



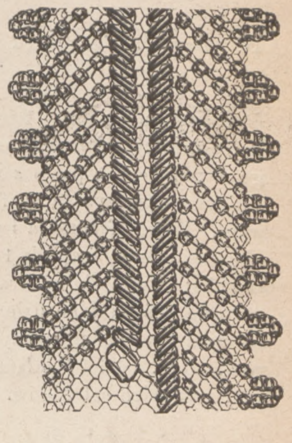
N. 29. Szlak z frendzelką z perełek szmelcowanych i złotych, do sukien krawatek i t. p.

N. 4. Kapelusz okrągły pluszowy.

Przy główce 10 c. wysokiej, dane rondko zupełnie opuszczone na doł z tyłu, a z przodu wysoko odwinięte; brzeg rondka objęty skosem aksamitnym 13 c. szerokim, przemarszczanym w bufki. Przybranie dane z kilku piór strusich.

N. 6. Kołnierz chusteczkowy przemarszczany. Patrz ryc. 38 w N. 49.

Formę kołnierza t. j. podstawę, wykrawa się z tiulu albo muślinu, z tyłu 11, z przodu 10 cent. długą a 64 obwodu u dołu liczącą; na niej z wierzchu przemarszcza się w ścisłych rzędach 15 cent. szeroki kawałek materyi surah, u dołu wypuszczony w wolancik 5 c. szeroki oszyty koronką. W około szyi dana podwójna riusza z koronki, którą oszyte są końce po 50 c. długie, 28 szerokie. Kołnierz przedstawiony na ryc. 6 był zupełnie czarny, stosowny do lekkiej żałoby; duńskie matowe rękawiczki sięgały za łokcie, do bufowanych rękawków.



N. 27. Torsadka z perełek szmelcowanych i stalowych.



N. 33. Wyszycie na lambrekinie do koszyczka ryc. 32.

N. 7. Suknia balowa z gorsecikowym atłasowym stanikiem.

Stanik gorsecikowy atłasowy, korzystny bardzo dla figur szczupłych, dopełniony jest suto marszczoną bluzką z lekkiego materyału; brzeg górny wykroju garnirowany riuszami.



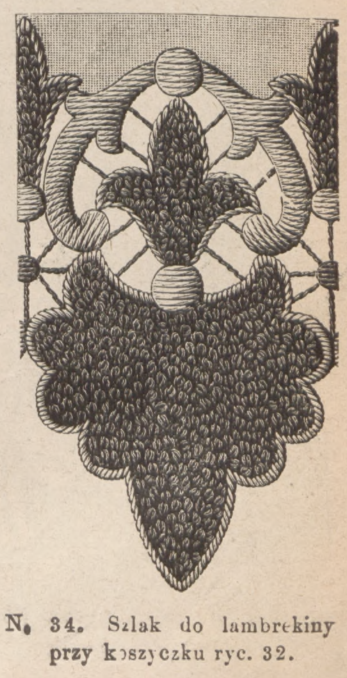
N. 28. Pasmanterya z perełek wyszyta ręcznie do sukien, okryć i t. p.

N. 8—15. Serweta na mały stoliczek. Haft z aplikacyą.

Wykonanie tej aplikacyi jest bardzo łatwe a efektowne; wszystkie kontury, łodyżki i arabeski odznaczone sznureczkiem skręconym z dwóch nitek złotych; ściegi luźne i supełki dodane z kolorowej filozeli. Harmonijne dobranie kolorów i aplikacyi stanowi główny warunek roboty; można tu zużytkować różne resztki materyi, kawałki wstążek i t. p. Tło serwety może być z sukna, aksamitu, buretu; aplikacyę wycinać można z deseniowego atłasu lub adamaszku. Na modelu po za aplikacyą dany był brzeg z jaśniejszego materyału z poprzecznych stron 9 z podłużnych 14 c. szeroki; na zeszyciu z tłem środkowem dane są szlaczki wyszyte włóczką sznelową (zwaną Arrasseen) i filozelą, ściegiem luźnym podług ryc. 8 lub 9. Piękne oryginalne



N. 35. Deseń na ścieg krzyżykowy.



N. 34. Szlak do lambrekiny przy koszyczku ryc. 32.

kwaściki dane na rogach, wykończają się podług ryc. 11—14. Każdy kwaścik składa się z 15 pukielków złączonych jak na ryc. 12; na każdej pentelce w środku odznacza się węzeł zwany huzarskim, którego wiązanie w znacznem powiększeniu przedstawia ryc. 13—14. Potrzeba najpierw na drewnianym wałeczku owinąć sznureczek sześć razy, zakręcając od strony prawej ku lewej podług strzałki na ryc. 13, a następnie przeprowadzić koniec środkiem podług ryc. 14. Złożenie piętnastu części w całość kwaścika wskazuje ryc. 11.



N. 36. Czepeczek z koronki. Patrz ryc. 37.



N. 40. Mufka atłasowa.



N. 38. Czepeczek z koronki z rozetami z frendzli. Patrz ryc. 39.

N. 16—18. Fartuszek płócienny.

Uszyty z nicianego krepowego materyału, przerabianego w poprzeczne paski z rzucikiem pousowym i szafirowym. Brzeg fartuszka i wykładu ozdobiony frendzlą 10 c. szeroką; wyżej dana kratka ażurowa, a środkiem idzie pas kanwy z wyszyciem krzyżykowem. Ryc. 16 i 17 załączają wzory wązkich szlaczków.

N. 19. Fartuszek atłasowy.

Na czarnym atłasowym fartuszku wykład odznaczony jest przez naszycie skosu 4 cent. szerokiego, zakończonego u dołu szlakiem haftowanym 8 c. szerokim, a w górze podwójną wypustką. Haft dany jest i u dołu fartuszka 54 c. szerokiego a 67 długiego; górny brzeg przemarszczony jest kilkakrotnie, do 30 cent. szerokości. Zamiast końców do wiązania dany gruby jedwabny sznur z kwastami.

(D. n.)



N. 37. Czepeczek koronkowy. Patrz r. 36.



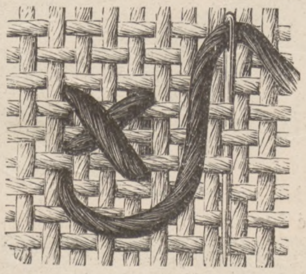
N. 41. Poduszka do kanapy. Deseń patrz ryc. 35.



N. 39. Czepeczek koronkowy z rozetami z frendzli. Patrz r. 38.



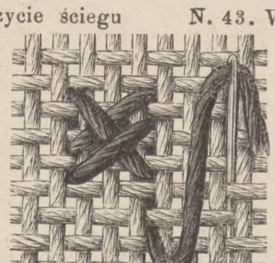
N. 36. Suknia z przypiętym trenem. Patrz ryc. 42 w N-rze 50.



N. 42. Wyszycie ściegu plecionego do r. 41. Pierwszy ścieg i włożenie igły na drugi ścieg podłużny.



N. 43. Wyszycie ściegu plecionego do r. 41. Jeden ścieg całkowity i zaczęcie ściegu zajętego niżej.



N. 44. Wyszycie ściegu plecionego do ryc. 41.



N. 45. Szlak na ścieg pleciony ozdobiony kratką z nitki złotej. Patrz ryc. 41—44.



N. 47. Suknia wizytowa z podwójnym paskiem bewetowym. Patrz ryc. 40 w N-rze 50.



Pl. 483.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.